12 STRON — CENA 9 PENSÓW

GAZETA NIEDZIELNA

ROK 6. LONDYN, WIELKANOC 1954 NR. 16/260





Jerzy Faczyński: **Kapliczka wielkanocna**

Wesoły nam dzień dziś nastał!

DZIEŃ Zmartwychwstania Pańskiego jest w świecie chrześcijańskim dniem radości, wiary i nadziei. Po męce krzyża, w której odkupił swą krwią ludzkość z niewoli grzechu, Bóg-Chrystus zwyciężył dnia trzeciego śmierć i powstał z martwych. Dzwony rezurekcyjne rozbrzmiewają w całym świecie nutą radości, której nie jest w stanie przyćmić żadne cierpienie na ziemi, żadne nieszczęścia, żadne zło, niewola, upokorzenia i klęski. Chrystus powstał z grobu, powstanie i z grobu niewoli nasz naród, bo miłość i dobro zwyciężają ostatecznie zawsze zło, nienawiść i przewrotność, które zrodziły tyranię, panującą dziś na olbrzymich obszarach kuli ziemskiej i w naszej ojczyźnie — Polsce.

Kościół święty nakazuje swym wyznawcom radować się w dniu Wielkanocy wielką radością ludzi wierzących w moc i w nieskończoną potęgę Boga; nakazuje im wierzyć w zmartwychwstanie ciał ludzkich na Sądzie Ostatecznym; nakazuje ufać w ostateczny triumf dobra i sprawiedliwości nad krzywdą i złem. Nikt inny nie powinien dziś bardziej podzielać tych uczuć niż Polacy, których droga cierpień i męczeństwa wciąż trwa i dla której trudno znaleźć porównanie wśród innych narodów świata.

Polacy w kraju raz jeszcze obchodzić będą wielką uroczystość Zmartwychwstania Pańskiego w cieniu komunistycznej niewoli. Mimo to zabrzmią dzwony kościołów polskich w czasie procesji rezurekcyjnych, świątynie zaś wypełnią się ciżbą wiernych, którzy wierzą i ufają, że niewola narodu przeminie, jak przeminęła niewola grzechu, z której wyzwolił ludzkość Chrystus swą męką, śmiercią i zmartwychwstaniem. Dlatego radować się będą mimo iż wróg wciąż jeszcze rządzi na polskiej ziemi i czyni wszystko, by oderwać naród od Kościoła i wiary katolickiej, oraz od Namiestnika Chrystusowego na ziemi.

Polacy, rozproszeni na emigracji w całym świecie, którzy ostatnio zjednoczyli swe siły we wspólnej walce o Polskę, będą w tym dniu duszą i sercem w kraju, na swojej ziemi i przy swych bliskich. I, żyjąc w wolnym, ale obcym świecie łączyć się będą z krajem ujarzmionym słowami tej samej pieśni radości, wiary i nadziei: Wesoły nam dzień dziś nastał!

KS. MGR KAZIMIERZ SOŁOWIEJ

Alleluja! Jezus żyje!

W WYOBRAŹNI ludzkiej nie mieścił się ani obraz Kalwarii, ani tym bardziej Zmartwychwstania. Boskie plany zbawienia nie przeniknęły do głębi dusz i nie znalazły zrozumienia. A tragiczna rzeczywistość ludzka przesłoniła Boga. Chrystus na krzyżu był wyrazem słabości, która gorszyła zaślepionych żydów. Ten, który okazywał wszechmoc Bożą dla innych — siebie pozwolił tak brutalnie wykreślić spośród żyjących.

Sprzymierzona z szatanem złość i przemoc ludzka zrobiły wszystko, aby Go już na zawsze pogrążyć w śmierci. Grobowym kamieniem beznadziejności przypieczętowała Go, aby już nigdy nie pojawił się na horyzoncie życia jako Bóg-Człowiek, który nie poszedł na kompromis ze złem. Triumf zła dosięgał więc szczytu, gdyż nie tylko sprawę człowieczeństwa ale i Bóstwa Chrystusa uważano już za przekreśloną ostatecznie i pogrzebaną.

Nie tylko wrogowie, ale i przyjaciele nie spodziewali się już Jego zwycięskiego Alleluja!

Ciemności bowiem kalwaryjskie wdarły się nawet do dusz i serc apostołów Chrystusowych zaciemniając w nich słońce wiary i nadziei do tego stopnia, że i oni uważali wszystko za stracone.

I gdyby nie fakt Zmartwychwstania — pozostaliby do końca życia w poczuciu największego zawodu i smutku jako przerażeni grozą Kalwarii uciekinierzy.

* * *

CHRYSTUS nie przestał być Bogiem w śmierci. Jego dusza i ciało, oddzielone od siebie na krzyżu, nie były ani na moment odłączone od Jego Boskiej Osoby, która wszechmocą swoją trzeciego dnia łączy na nowo duszę ludzką Chrystusa z ciałem i wyprowadza je z grobu w pełni życia, jaśniejącego chwałą. „Bo zmartwychwstał samowładnie jak przepowiedział dokładnie". Ostatnim słowem Boga mogło być tylko życie, a nie śmierć! „Nie zna śmierci Pan żywota, chociaż przeszedł przez jej wrota". Nie zszedł z krzyża. Nie uległ kuszeniu złej woli domagającej się cudu. Lecz swą Boską mocą powstał z grobu, by zwyciężyć zło wówczas, gdy się najmniej tego spodziewało.

Wbrew ludzkim pojęciom i wyobraźni powrócił do życia i udowodnił, że zmartwychwstał prawdziwie. I tylko zawiniona ignorancja oraz zła wola mogłyby nie uznać faktu Zmartwychwstania, mierząc go miarą ludzkich a nie Boskich możliwości.

* * *

ACZKOLWIEK przyszedł na ziemię, by zbawić wszystkich ludzi to jednak do dnia swojej śmierci Jezus był tylko lokalnym zagadnieniem, tak tragicznie rozwiązanym przez żydów.

Po swej śmierci i chwalebnym zmartwychwstaniu staje się On ogólno-ludzkim, najważniejszym problemem, uzależniając losy świata od ustosunkowania się do Niego.

Wychodzi z granic Palestyny na cały świat poprzez swych apostołów, ożywionych tchnieniem Zmartwychwstania.

Idzie na zdobycie Rzymu i tam na gruzach tyranii i niewolnictwa zakłada stolicę Chrześcijaństwa.

Idzie przez życie jako Władca dusz, zdobytych nie terrorem, lecz miłością, która daje życie za przyjaciół swoich. On przecież położył swe życie jako fundament nowej społeczności Bosko-ludzkiej czyli Kościoła. „Przyszedłem, abyście życie mieli i obficiej mieli". Dla naszego więc życia stał się On tym Boskim ziarnem, które wrzucone w ziemię obumarło aby wydać plon wielokrotny. (Por. J. 12, 25). I tym plonem Bożego posiewu żywi i zasila dusze ludzkie na doczesność i wieczność.

„Jam jest Droga, Prawda i Życie" zapewnia nas.

Przez Wcielenie Jezus zaczął żyć naszym życiem ludzkim abyśmy przez Eucharystię żyli życiem Bożym. Dzięki Eucharystii przebywa wśród nas i jest dostępny dla wszystkich. I tak Zmartwychwstały Jezus Eucharystyczny jest życiodajną mocą Kościoła, ciągle żywym i jedynym źródłem odrodzenia i wewnętrznej przemiany, od której zależy odnowienie oblicza świata.



PIEŚŃ O ZMARTWYCHWSTANIU

W perłowym świcie, w blasku zorzy
Gdyś Swoim słowem grób otworzył
Dotknąwszy stopy przebitymi
Od ros wiosennych mokrej ziemi...
Wiem, że pod świętym Twym spojrzeniem
Świat się rozjaśnił, rozpromienił.
Skowronek rozpiął pieśń w błękitach
A nad rzekami bazie kwitły...
Ugory, miedze i przydróżki
Rozradowaniem podbiał mościł!
W rozgwiazdach Ci różowo-białych
Kwiaty stokroci modły stały...
I w przeradosnej złocistości
Blaskiem rozjarzył się pierwiosnek...
A jak pachniały skiby ziemi!
Zapach ich nie da się określić.
To aniołowie pewnie Twoi
Ziarno na Chleb Najświętszy nieśli.
Aby wyrosło łaski zdrojem,
Aby rozkwitło w serc czystości
Na łaskę Twego zmartwychwstania
Iżeś zwyciężył śmierć miłością
O chwała Ci, Hosanna Panie!

Penley Stanisława Rogalska

Jako Mistyczne Ciało Chrystusa Kościół jest świadomy swej misji zbawczej i mocy, przeżywając nawet godziny lęku współczesnego Ogrójca. W milczeniu znosi prześladowania, gotów zawsze przebaczyć nawet judaszom swoim, gdy zaślepieni, nie wiedzą co czynią. Nie idąc na kompromis ze złem, Kościół staje często wobec krzyża. Z wyżyn Kalwarii jednak widzi, że zbrodniczy plan zabicia Boga w duszach ludzkich, kończy się zawsze klęską prześladowców. A Zmartwychwstanie Chrystusa jest dla niego świadectwem i zapewnieniem triumfu dobra nad złem. Wykazuje ono, że przemoc i siła — to jeszcze nie wszystko. Istnieje Bóg, który potrafi zmienić gruntownie sytuację i wykazać słabość siły materialnej i niemoc nienawiści.

Czerpiąc ze Zmartwychwstania Chrystusowego nie tylko pokrzepiającą analogię, ale i moc nadprzyrodzoną, za przykładem naszych współbraci w Kraju, niezłomnie wierzymy w nadchodzącą rezurekcję wolności w Ojczyźnie, kiedy to zjednoczeni wokół Zmartwychwstałego Zbawcy zaśpiewamy zwycięskie Alleluja!

Ks. mgr Kazimierz Sołowiej

SŁOWO BOŻE

NIEDZIELA WIELKANOCY

LEKCJA
(I Kor. 5, 7-8)

Bracia: Uprzątnijcie stary kwas, abyście się stali nowym zaczynem, jako też przaśni jesteście. Albowiem na Paschę naszą został ofiarowany Chrystus. Świętujmy tedy nie na starym kwasie, ani też w kwasie złości i przewrotności, ale w przaśnikach szczerości i prawdy.

EWANGELIA
(Mar. 16, 1-7)

W on czas: Maria Magdalena i Maria Jakubowa i Salome nakupiły wonności, aby pójść i namaścić Jezusa. I bardzo rano w pierwszy dzień tygodnia przyszły do grobu, gdy już wzeszło słońce. A mówiły do siebie: Któż nam odsunie kamień od drzwi grobowca? I spojrzawszy, ujrzały odsunięty kamień. Był bowiem bardzo wielki. A wszedłszy do grobowca, ujrzały młodzieńca siedzącego po prawej stronie, ubranego w szatę białą, i zdumiały się. Ale on rzekł im: Nie lękajcie się, szukacie Jezusa Nazareńskiego, ukrzyżowanego: powstał, nie masz go tu, oto miejsce, gdzie go złożono. Ale idźcie, powiedzcie uczniom jego i Piotrowi, że was uprzedza do Galilei: tam go ujrzycie, jako wam powiedział.

KTO ODBUDOWUJE I ODNAWIA KOŚCIÓŁ POLSKI W LONDYNIE

Ofiary w dalszym ciągu nadesłali:

Z Londynu: N.N. — 10; D. Zaiczek — 10; N.N. — £ 4; Zofia Nowak — £ 1; Generał Józef Haller — £ 2.

Spoza Londynu: J. Macutkiewicz, Larbert, Szkocja — 5; Jan Więcławek, Wolverhampton £ 1; N.N. — Castle Douglas 5; J. Klauziński, Boreham Wood — 5; „Drucik", Selby — £ 2.4.0; Z.R. Diddington — 2; W. Jeremicz, Shipley — 5; Alojzy Łubgan, Leeds — 8; W. Ortyl, Long Marston — £ 1; Angela Bojańczuk, Vesenza, Szwajcaria — 8.1; Helena Forkun, Oxford — £ 1; Jadwiga Jabłońska, Euxton — 5.

Bóg zapłać.

K A L E N D A R Z Y K

KWIECIEŃ 1954

18 n. Wielkanoc
19 p. Poniedziałek Wielk.
20 w. Agnieszki p.
21 ś. Anzelma b.w.d.K.
22 c. Sotera i Kajusa PP. m.
23 p. Wojciecha, Jerzego
24 s. Fidelisa m.

FAZY KSIĘŻYCA
Niedziela, 18 kwietnia
Pełnia

JUŻ PIĘTNASTA WIELKANOC

STANISŁAW STROŃSKI



PO KRÓTKIM, jakże krótkim, dwudziestoleciu odzyskanej niepodległości, obecnie już piętnasta Wielkanoc zastaje nas w długim, jakże długim okresie niewoli.

Tak, tamto dwudziestolecie wydaje nam się bardzo krótkie, a to piętnastolecie wydaje nam się bardzo długie, bo zawsze tak jest w życiu, że lata dobrej doli mijają za szybko, a lata niedoli dłużą się boleśnie w sercach i umysłach.

Krótkie wydaje nam się tamto dwudziestolecie wolności dlatego, że wchodziliśmy w nie w roku 1918-19 w przekonaniu, że to już na zawsze, a długie wydaje nam się obecne piętnastolecie niewoli dlatego, że wchodziliśmy w nie w przekonaniu, że to na krótko, na kilka lat wojny, a rzeczywistość potoczyła się inaczej i straszliwie.

Ta myśl, że tamto trwało tylko lat dwadzieścia, a to trwa już lat piętnaście — że te dwa okresy stają się już tak bliskie swym czasem trwania, — przytłacza bólem i troską.

LATA WOLNOŚCI

Myśl, tutaj na obczyźnie, a oczywiście tak samo wśród ogółu narodu w Kraju, wraca ciągle do tego dwudziestolecia wolności w ustawicznym nie tylko żalu za minionymi dniami i latami lecz także i niepokoju i jakby rachunku sumienia.

Był to bowiem okres wielkich prac i zasług lecz nie bez lekkomyślnych działań i win.

Podstawową zasługą nie tylko pokolenia, które weszło w odzyskaną wolność, lecz i poprzednich było dotrwanie w wierze i myśli narodowej poprzez stulecie z górą rozbiorów i niewoli. A nawet nie tylko dotrwanie, lecz także, obok wzlotów twórczości polskiej, okrzepnięcie i wzmożenie czynnych sił narodu przez ogarnięcie myślą obywatelską wszystkich jego warstw. Gdyby naród tak nie dotrwał, nawet najpomyślniejsze okoliczności międzynarodowe nie byłyby go z niewoli wydobyły. W chwili przełomu dziejowego, w czasie pierwszej wojny 1914 - 1918, społeczeństwo w trzech dzielnicach, ale jedno poczuciem, myślą przewodnią i kierownictwem, a świadome swego celu, nie dało się wciągnąć na złe drogi wiązania sprawy polskiej z którymkolwiek z zaborców, lecz oparło ją na współdziałaniu z państwami zachodnimi. Przez opór w stuleciu niewoli i przez to stanowisko w przełomie wojennym staliśmy się istotnymi głównymi współtwórcami swego losu.

W dobrej pamięci pozostaje również postawa społeczeństwa po odzyskaniu niepodległości. Z wdzięcznością Bogu za zmartwychwstanie, o które modliły się pokolenia, z przywiązaniem do Wiary, która była tak mocną ostoją w oporze przeciw zaborcom, łączył się powszechny i żywiołowy wówczas zapał w służbie Ojczyźnie, w gotowości do zgody w jej imię, do wysiłku. Wbrew bowiem ukutemu przez wrogów twierdzeniu o niezdolności Polaków do zgody i do rządzenia się, społeczeństwo rozumiało potrzebę zgody i pielęgnowało ją, co też znajdowało wyraz w wielu działaniach i głosowaniach sejmowych, tak iż do wzniecania niezgody trzeba było rozmyślnych zabiegów.

Wyniki pracy państwowej i obywatelskiej, były, zwłaszcza w pierwszym siedmioleciu 1919-1926, bardzo znaczne w dziedzinie ustalenia granic państwa, ustroju z konstytucją 17 marca 1921, naprawy skarbu, rozwoju gospodarczego, szkolnictwa, sił zbrojnych i stosunków z zagranicą.

Pewne więc jest, że — (jak w przedrozbiorowej Polsce było wiele zaniedbań i win, ale rozbiory były wynikiem naporu żądnych łupu zaborców) — tak i w roku 1939 upadek nasz był następstwem złowrogiej zmowy ponownej rosyjsko-niemieckiej Stalina i Hitlera.

LATA NIEWOLI

Po klęsce w Kraju w roku 1939, naszym dorobkiem niezniszczalnym, którego rachunek nie jest ani zamknięty ani przekreślony, jest dalsza walka o wolność bez chwili poddania się czy losowi, jak się mówi, czy raczej wrogom. Wyraziło się to, po obwieszczeniu Hitlera i Stalina we wrześniu 1939, że Państwo Polskie przestało istnieć, w utrzymaniu bez przerwy na obczyźnie i w podziemiu krajowym ciągłości państwa, uznanej wówczas przez całą zagranicę z wyjątkiem wrogiej. Wyraziło się, co więcej, w dalszej z górą pięcioletniej walce na obczyźnie polskich sił zbrojnych, lądowych, morskich i powietrznych, ramię do ramienia z sojusznikami i przy ich niespornym i najdobitniejszym uznaniu, oraz w bezprzykładnym oporze i walce społeczeństwa i podziemnej armii w Kraju. Polska spełniła, od początku tego już piętnastoletniego okresu niewoli narzuconej jej ziemi i narodowi, wszystkie swe obowiązki wobec siebie i wobec innych, tak jak nikt inny, a to nie przepada i odezwie się nawet gdy jest na jakiś czas zagłuszone i zagłuszane.

Złowroga niesprawiedliwość następnego i trwającego obecnie dziesięciolecia niewoli, od roku 1944-45 po Teheranie i Jałcie, z współwiną i współodpowiedzialnością sojuszniczą brytyjską i amerykańską, pogrążyła Polskę nadal w niewoli, oddając ją na łup Moskwie.

Niewola ta zakuwa Kraj w coraz trwalsze i cięższe kajdany we wszystkich dziedzinach życia. Miarą wzrastającego ucisku jest, od ostatniej Wielkanocy do obecnej , prześladowanie Kościoła aż do uwięzienia i zniknięcia Prymasa Polski. Społeczeństwo pozostaje sobą pod obuchem najazdu, zaboru, przemocy sił zbrojnych najeźdźcy i jego pachołków na urzędach.

Wychodźstwo polityczno-wojskowe polskie ostatniej wojny, w oparciu o dawniejsze zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych Ameryki, pełni swe obowiązki służby sprawie polskiej w warunkach często takich jak wołającego na pustkowiu. W miarę zaostrzającego się zatargu między Zachodem a Rosją narastają jednak możliwości wymagające czujnego wysiłku. Przeciw zaborowi Polski i innych krajów przez Moskwę, który dokonał się przy przymknięciu oczu Zachodu, zjawia się, zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych Ameryki, hasło wyzwolenia narodów ujarzmionych.

Ten stan rzeczy, wraz z nauką przeszłości dawnej i niedawnej o błogosławieństwie zgody, wysunął i posuwa ku urzeczywistnieniu przykazanie zjednoczenia narodowego.

Stanisław Stroński

DO PRENUMERATORÓW

„Gazety Niedzielnej", „Życia", „Drogi" i „Biblioteki Polskiej"

Zwracamy się z uprzejmą prośbą do Prenumeratorów, aby przy okazji zawiadamiania nas o zmianie adresu zechcieli wpłacać 1/- na koszty manipulacyjne związane z tą zmianą.

Administracja
Katol. Ośrodka Wyd.
„Veritas"

WIELKI TYDZIEŃ W JEROZOLIMIE

MIESZKAJĄC przez dłuższy czas w świętym mieście Jerozolimie, miałem sposobność brania udziału w różnych uroczystych nabożeństwach i ceremoniach tak w Bazylice Grobu, jak i w innych świątyniach. Pragnę podzielić się z Czytelnikami moimi wspomnieniami z uroczystości w Jerozolimie w okresie Wielkiego i Świętego Tygodnia.

W Niedzielę Palmową odbywają się w godzinach rannych uroczyste nabożeństwa we wszystkich świątyniach Jerozolimy. Po południu wspaniała procesja palmowa wyrusza z miejscowości Betfage, z patriarchą jerozolimskim względnie kustoszem Ziemi Św. na czele. Miejscowość Betfage, położona koło Góry Oliwnej, niedaleko Betanii, gdzie mieszkał św. Łazarz z siostrami, leży 4 km na wschód od Jerozolimy.

Tuż za patriarchą i duchowieństwem tłumy wiernych z palmami w rękach płyną szeroko rozlaną falą, śpiewając pleśni religijne i psalmy łacińskie i procesja zatrzymuje się u progów świątyni św. Anny, znajdującej się pod opieką i ochroną zakonu oo. białych. W świątyni tej, po odprawieniu modłów i błogosławieństwie Najśw. Sakramentem kończy się ceremonia, a procesja rozwiązuje się.

W Wielki Poniedziałek, Wielki Wtorek i Wielką Środę odprawiane są uroczyste nabożeństwa w kościołach „Ecce Homo" oraz „Biczowania i Cierniem Ukoronowania".

W Wielki Czwartek rano uroczysta Msza św. w Bazylice Bożego Grobu, podczas której po „Gloria" milkną organy i dzwony, na znak rozpoczynającej się wielkiej żałoby. W miejsce dzwonów używane są od tej chwili aż do wielkosobotniej Mszy św. drewniane kołatki.

Po Mszy św. odbywa się ceremonia obnażania ołtarzy, po czym w procesji Najśw. Sakrament przeniesiony zostaje do Ciemnicy. Podczas procesji pienia religijne wykonuje chór ojców franciszkanów z Bazyliki Zbawiciela.

W Wielki Czwartek po południu ma miejsce w Bazylice Bożego Grobu ceremonia mycia nóg. Na szerokim tarasie kamiennym, pokrytym dywanami, tuż przy wejściu do kaplicy Bożego Grobu, ustawione są ławki w kształcie litery U. W dolnym jej łuku ustawiony jest na podwyższeniu wielki fotel przeznaczony dla patriarchy. Nad tronem wisi artystycznie upięty dywan z emblematami kustodii Ziemi Św. i patriarchatu łacińskiego. Na ławkach zasiadają klerycy w liczbie 12, odpowiadającej ilości 12 Apostołów. Z tych 12 kleryków sześciu jest świeckich, a sześciu z zakonu św. Franciszka. Wprowadzony przez duchowieństwo patriarcha zajmuje miejsce na tronie. Po odmówieniu przewidzianych rytuałem modlitw i odśpiewaniu kilku psalmów przez chór franciszkański, odbywa się właściwa ceremonia. Patriarcha w asyście trzech zakonników, z których jeden niesie srebrny dzban z wodą, drugi srebrną misę, a trzeci srebrną tacę, przystępuje do pierwszego siedzącego na ławie kleryka, polewa wodą jego prawą obnażoną stopę, wycierając potem watą. Następnie pochyla się i całuje symbolicznie w powietrzu stopę kleryka. Potem dotykając ręką jego prawego ramienia, wręcza patriarcha klerykowi na pamiątkę duży arkusz pergaminowego papieru z wypisanym imieniem i nazwiskiem danego kleryka, oraz wzmiankę o odbytej ceremonii z podpisem własnoręcznym celebransa. Czynność tę powtarza patriarcha 12 razy przy każdym z kleryków.

Nabożeństwa wielkoczwartkowe w bazylice Grobu Bożego kończy „Ciemna Jutrznia". O 5 po południu wyrusza tegoż dnia procesja oo. franciszkanów na górę Syjon do Wieczernika, miejsca Ostatniej Wieczerzy wraz z 12 Apostołami. Stąd po odmówieniu szeptem modlitw, procesja posuwa się wolno przez dolinę Cedronu. Krętymi ścieżkami, wśród skał i rozłożystych dzikich kaktusów, kroczy rzesza wiernych w kierunku Ogrodu Oliwnego — Getsemani. Po przejściu przez wyschnięty potok Cedron i dolinę Józefata, procesja wkracza do bazyliki Konania, stojącej u stóp Góry Oliwnej. Tam odprawione zostaje nabożeństwo pasyjne, tzw. „Godzina święta".

W Wielki Piątek po południu odbywa się Droga Krzyżowa — „Via Dolorosa". Ceremonia ta ma w Jerozolimie specjalne znaczenie. Tą samą bowiem drogą kroczył ongiś na Golgotę Syn Boży, krwawiąc i upadając trzykrotnie pod ciężkim brzemieniem krzyża.

Tegoż dnia wieczorem ma miejsce ceremonia złożenia Pana Jezusa do grobu. O 7 wieczór wychodzi z tej bazyliki, z kaplicy „Ukazania się Pana Jezusa Matce Najśw.", procesja, która posuwa się w kierunku Kalwarii. Wszyscy mają zapalone świece i śpiewają odpowiednie psalmy. Procesja przesuwa się boczną nawą bazyliki. Po przekroczeniu kamiennych schodów wiodących na Górę Stracenia — Kalwarię, po hebrajsku Golgotą zwanej, wszyscy przystają w kaplicy Ukrzyżowania Pana Jezusa. Tu, po wygłoszeniu krótkiej nauki, przybijają figurę Chrystusa do krzyża, podnoszą i stawiają ten krzyż w miejscu, gdzie ongiś wbito krzyż, na którym ciało Jezusa zawisło. Potem jeden z franciszkanów wygłasza kazanie o wielkości i znaczeniu ofiary Chrystusa dla ludzkości. Po kazaniu zakonnicy zdejmują figurę Jezusa z krzyża i owijają ją w biały całun. Procesja schodzi z góry Kalwarii do przedsionka bazyliki, gdzie na środku znajduje się „Kamień Namaszczenia". Jest to duża prostokątna płyta okrywająca skałę, na której Nikodem wraz z Józefem z Arymatei złożyli ciało Jezusa, namaścili je wonnymi olejkami, owinęli w białe płótno i następnie złożyli do grobu.

Przed „Kamieniem Namaszczenia" procesja zatrzymuje się. Zakonnicy niosący figurę Zbawiciela, kładą ją na tym kamieniu. Jeden z kapłanów namaszcza figurę wonnymi olejkami i okadza ją. Następnie figurę znów owijają w biały całun, po czym procesja udaje się do kaplicy Bożego Grobu, gdzie figurę składają na białej płycie marmurowej przykrywającej miejsce, na którym złożono ciało Jezusa.

Jan Kanty Lewicki



TAJEMNICA SPOWIEDZI



POWIEŚĆ

JÓZEF SZPILMAN

26)

— Sądziliśmy wpierw, że starej damie zdarzyło się jakieś nieszczęście, gdy opuszczała rozległy budynek i dziwiliśmy się tylko, że proboszcz był tak mało pochopny w udzieleniu nam pomocy, kiedy chcieliśmy przeszukiwać korytarze. Dopiero później, kiedy odnaleźliśmy ciało, nasunęło nam się podejrzenie, że winnym jest proboszcz, a to po części z powodu dziwnego jego zachowania się, po części dlatego, że nikt inny nie znajdował się w klasztorze w czasie zbrodni.

— Potem widzieliśmy go, gdy zajęty był potajemnym zmywaniem ogromnych plam krwi ze swej sutanny i zaraz potem znaleźliśmy w kuchni proboszcza koszyk zamordowanej, nóż, którym widocznie zabójstwo zostało dokonane oraz chustkę, w jaką został z krwi obtarty.

— Istotnie, ciężkie, bardzo przygniatające dowody winy. Winszuję takiego wyniku poszukiwań. Co mówi na to obwiniony?

— Zaprzecza winy, obstaje zuchwale przy swej niewinności. Ma jeszcze odwagę wzywania Boga na świadka. Czy chce go pan zobaczyć? Tu obok strzeże go nasz żandarm.

— Teraz nie. Przeczytamy wpierw z panem oficerem protokół, któryś pan wystawił o tym tak owocnym poszukiwaniu. Potem obejrzymy dokładnie miejsce zbrodni i inne miejsca tego budynku. Wszakże sprowadzono sądowego lekarza? Dobrze, wysłuchamy jego sprawozdania. A pieniądze, ta suma zrabowana, czy znalazła się?

— Niestety, nie. Przypuszczamy, że proboszcz ukrył pieniądze w jakim schowaniu tego ogromnego budynku.

— Nie jest to nieprawdopodobne. W każdym razie trzeba przeszukać cały dom jak najdokładniej. Panie Picard, bądź pan łaskaw wziąć się zaraz do tego z jednym ze swych ludzi. My obejrzymy tymczasem miejsce zbrodni i wszystko, co ma z tym związek.

Kiedy sędzia śledczy przeczytał uważnie protokół, zaprowadził go burmistrz najpierw do kuchni i pokazał mu nóż i chustkę oraz miejsce, gdzie zostały znalezione.

— To bardzo dziwne — rzekł sędzia — że te rzeczy tak źle były schowane. Wygląda, jakby włożono je tak umyślnie, aby były znalezione. Są jednak przykłady, że sprawca zrobił to z myślą, aby móc powiedzieć: nie byłbym przecież tak mało przezorny, żeby się sam zdradzać. Czy proboszcz mówił co podobnego, kiedy znaleziono ten nóż?

— Nie. Udawał zmieszanego i zapewnił o swej niewinności — odrzekł burmistrz.

Sędzia obejrzał pokrwawioną sutannę.

— W jaki sposób tłumaczy proboszcz te plamy? — zapytał, a usłyszawszy odpowiedź burmistrza, powiedział wzruszając ramionami:

— Jeżeli objaśnienie proboszcza jest prawdziwe, to nie mógł uczynić nic gorszego na swoją niekorzyść! Można by poznać zaraz, czy te plamy pochodziły z zakrzepłej krwi; teraz rozpuścił je znowu wodą i trudno będzie dojść, czy to była krew świeża, czy skrzepła.

Teraz burmistrz zaprowadził sędziego przez ciemny korytarz pawilonu Marii do oratorium i zauważył, że według świadectwa proboszcza, zamordowana chodziła stale tą drogą, by modlić się przed Najświętszym Sakramentem, a potem schodziła po ciemnych, kręconych schodach w dół. Zapalił potem świecę i poświecił sędziemu aż do progu zakrystyjnej komórki.

— Tutaj zostało dokonane morderstwo! — objaśnił. — Tutaj w tym kącie, za otwartymi drzwiami musiał morderca oczekiwać swej ofiary!

— Jak mógł proboszcz przyjść tutaj, kiedy, według jego objaśnienia i pańskiego przypuszczenia, pożegnał się z ofiarą na górze, przed swymi drzwiami?

— W dwojaki sposób: albo głównymi schodami i krużgankiem przez te schody, albo gdy modliła się w skupieniu w oratorium, przesunął się koło niej niepostrzeżony.

— Mógłby także towarzyszyć jej i napaść w tym najdogodniejszym miejscu. Jedno jest tylko pewne, że mordu dokonał człowiek, dobrze obeznany z położeniem tego domu i ze zwyczajami zamordowanej.

— Poza tym musiał wiedzieć, że nieboszczka pójdzie tą drogą o tej właśnie godzinie i z taką a taką sumą pieniędzy. Któż inny mógł o tym wiedzieć, prócz proboszcza?

— Ma pan rację. Dowody winy są istotnie przygniatające. Proszę, otwórz pan drzwi.

Od progu przyglądał się sędzia śledczy przykrytemu całunem trupowi.

— Naturalnie. to pan kazał przykryć trupa całunem?

— Nie, nie! Właśnie tak znaleźliśmy go i unieśliśmy sukno tylko o tyle, żeby się przekonać o tożsamości pani Blanchard.

— To jest szczególne! Tego by chyba nie zrobił zwykły morderca! W tym zdradza się ręka duchownego! — zawołał sędzia — Zostaw pan całun, jak był, aż zjawi się lekarz sądowy. A teraz powiedz mi pan. jakie było zachowanie się proboszcza, gdy znaleźliście ciało?

— Zdaje się, iż wspomniałem już o tym panu sędziemu, że prowadził nas pierwej inną drogą, pomimo że wiedział, którędy pani Blanchard zwykła chodzić. Dopiero na nasze wyraźne żądanie raczył nas tutaj zaprowadzić, rzucił przy tym dziwnie bojaźliwe spojrzenie na drzwi — tego pewien jestem, gdyż właśnie to spojrzenie spowodowało mnie do ich otworzenia — i w tejże chwili zgasła lampa.

— Czy zdmuchnął światło?

— Nie, przynajmniej nie zauważyłem tego. Sądzę, że przeciąg był przyczyną. Wszystkich nas jednak uderzyło to, że rzuciwszy jedno tylko spojrzenie, natychmiast poznał czyje to było ciało, gdy my dojrzeliśmy wyraźnie jedynie całun. Potem przykląkł zaraz, nie czekając na światło, tu przy trupie i udawał zamodlonego.

— Zdaje się, że istotnie klęczał w zakrzepłej krwi, wobec tego wydaje się prawdziwe jego wyjaśnienie co do krwawych plam. Ale oczywiście nie dowodzi to jeszcze jego niewinności!

— Tymczasem zamknij pan komórkę. Pójdziemy z powrotem na górę.

Podczas gdy szli po schodach, sędzia pytał, czy jest zupełnie pewien, że w domu w czasie dokonania zbrodni nie było zakrystiana. Burmistrz oświadczył, że to jest dowiedzione i potwierdzone przez samego nawet proboszcza.

— Kto mógł być jeszcze w klasztorze w tym czasie, a więc między dziesiątą a jedenastą godziną?

— Nikt, prócz proboszcza i zamordowanej. Starą Zuzannę, służącą, odesłał proboszcz jeszcze przed przybyciem pani Blanchard pod pozorem, że jest niezdrów i chce się położyć. Miała przyjść dopiero na drugi dzień. Stary Jakub, który w nieobecności zakrystiana dzwonił w południe na Anioł Pański, przyszedł do klasztoru na kilka minut przed dwunastą, a więc w czasie, kiedy czyn był już spełniony i zaraz opuścił klasztor.

— Jeżeli rzeczywiście da się to dowieść — mówił sędzia śledczy — to już to samo w sobie jest ważnym dowodem winy. Przesłucham służącą i człowieka, który dzwonił na Anioł Pański; niech pan każe zawołać ich natychmiast. Gdybyśmy odkryć jeszcze mogli motyw, powód, jaki popchnąć mógł proboszcza do tego czynu. Zemsta, zazdrość lub coś podobnego nie może tu wchodzić w rachubę — pobudką mogłaby być jedynie ta wielka suma pieniędzy. Czy proboszcz uchodzi za chciwego?

— Przeciwnie. Muszę mu oddać sprawiedliwość, że jest względem chorych i biednych dobroczynny, nawet ponad swoje środki.

— Hm, może go to właśnie wprowadziło w przykre długi?

— Nie wiem nic o tym. Ale jest on biedny, ma matkę też biedną i od dawna chciał ją wziąć do siebie. W niedzielę była tutaj i dopiero w poniedziałek rano — w istocie zaledwie w godzinę przed morderstwem — powróciła do Akwizgranu, gdzie żyje w nieszczególnych warunkach. Hm, przychodzi mi coś na myśl...

— I mnie — przerwał mu żywo sędzia — Nieprawdaż, że to ona mogła zabrać ze sobą pieniądze do Akwizgranu i na próżno ich tutaj szukać będziemy?

— Myślałbym tak, gdyby nie było kwitu, podpisanego przez nieboszczkę!

— Taaak? Kazał więc sobie nawet kwit wystawić? To czyni tę sprawę jeszcze wyraźniejszą. Podpis łatwowiernej osoby otrzymać mógł łatwo jakimś fortelem, np. mógł jej powiedzieć: pieniądze mam schowane w pewnym ukryciu w zakrystii i wypłacę je tam na dole. Pan mówił, że kręcone schody wiodą także do zakrystii? Więc pani Blanchard, żeby się nie wracać, podpisała na górze kwit, a w drodze do zakrystii, zamiast pieniędzy, otrzymała pchnięcie nożem. Co pan mówi na to przypuszczenie?

— Podziwiam pańską przenikliwość, panie sędzio. To bardzo prawdopodobne, tak być musiało!

— Doświadczenie, tylko doświadczenie, drogi burmistrzu! Kto jest na urzędzie tak długo, jak ja, ten potrosze poznaje wszystkie sztuczki zbrodniarzy. A więc, dzięki pańskiej doskonałej pomocy, mamy to, co ja nazywam „stałą operacyjną podstawą". Na tej podstawie teraz budować będziemy. Przede wszystkim należy wysłać do Akwizgranu telegram, aby policja miała baczne oko na ową panią Montmoulin. Pan zna zapewne adres?

(Ciąg dalszy nastąpi)



FAWLEY COURT

Wizyta angielskiego pasterza — Pamiątki polskie w Henley — Szkoła i muzeum w historycznym pałacu angielskim — Potrzeba około 6000 funtów na gimnazjum ojców marianów

— Good morning! — zawołał człowiek, w którym łatwo było rozpoznać pastora. Ubrany co prawda po sportowemu, nosił jednak koloratkę i przyjechał na małym motocyklu, zapewne po prostu na „setce". Anglikańscy pastorzy już niczym innym się nie różnią od zwyczajnych śmiertelników.

— Good morning, sir! — uprzejmie odpowiedział witający go Polak. — Czym panu mogę służyć?

— Podobno zakładacie tu szkołę. Chciałbym się zobaczyć z przełożonym — powiedział pastor.

— Oho, znowu się będą czepiać — pomyślał Polak. Niedawno odbyło się głosowanie w zarządzie hrabstwa i uchwalono, by nie udzielać katolikom pomocy. Ale zaprowadził pastora do ojca superiora Józefa Jarzębowskiego.

Ojciec Superior prosił siadać i zapytał, czemu może zawdzięczać wizytę.

— A bo „I am a priest of the so called Church of England", jestem księdzem tak zwanego Kościoła anglikańskiego — powiadział pastor z uśmiechem — i mam syna, który chodzi do szkoły. Gdy się dowiedziałem, że tu zakładacie szkołę, ucieszyłem się, bo mój chłopak nie będzie miał daleko jeździć, oczywiście jeżeli go przyjmiecie.

I tym sposobem pomiędzy polskimi chłopcami, uczniami katolickiej szkoły, prowadzonej przez księży marianów, znajdzie się syn anglikańskiego pastora. I kto wie? — może chłopiec się nawróci? A mając między sobą angielskich kolegów chłopcy też skorzystają, utrzymując kontankt ze światem. W ten sposób unika się powstania getta. Co prawda wszystkie wykłady odbywają się po angielsku, według angielskiego programu nauczania, ale atmosfera domu jest na wskroś polska, nauczyciele są Polakami, pielęgnuje się polskie zwyczaje, je się potrawy przyrządzone po polsku, prawie że — jest się w Polsce.

A tymczasem jest się na samej granicy Oxfordshire i Buckinghamshire, o parę kroków od miasteczka Henley-on Thames, jednej z pereł Anglii a szczególnie doliny Tamizy. Gratka nawinęła się w zeszłym roku. Na sprzedaż wystawiono Fawley Court, historyczny pałac, który ostatnio należał do rodziny Mackenzie. Cena wraz z bajecznym parkiem wynosiła £ 10 tysięcy. Gdy ojciec Jarzębowski cudo to zobaczył, przed oczyma stanęła mu wizja wspaniałości, które w tym pałacu można uczynić, i — kupił. Samorządowe władze angielskie były zadowolone, ponieważ mało kto dzisiaj w Anglii mógłby sobie pozwolić na mieszkanie w wielkim pałacu, a chodziło im przecież o zachowanie pałacu jako pomnika historycznego.

POLONICA W HENLEY

Z pałacem i z Henley łączy się wiele historycznych nazwisk. Gość w Fawley Court powinien oglądnąć sobie sufity. Po wizytach w licznych wiktoriańskich domach Londynu, oblepionych wstrętnymi gipsowymi „ozdóbkami", z niepokojem myśli się o rzeźbionych sufitach. Ale w Fawley Court sufity są dziełami sztuki. I nic dziwnego, bo w projektowaniu i wykonywaniu w roku 1690 jednego z nich udział brał Grinling Gibbsons holendersko-angielski rzeźbiarz, urodzony w Roterdamie w roku 1648, a zmarły w 1721. Gibbsons znany jest także jako wykonawca pomnika Jakuba II na Whitehall, drewnianego chóru w katedrze św. Pawła w Londynie i drewnianego tronu arcybiskupiego w Canterbury.

Z londyńską katedrą św. Pawła Fawley Court powiązany jest jeszcze inną nicią. Budowniczy katedry, Richard Jennings, bywał za życia w Fawley Court i pochowany został w Henley. Samo Henley posiada liczne pamiątki, też nieobce Polakom. Henleyowski most nad Tamizą, jeden z najpiękniejszych, zaprojektowany został w roku 1786 przez Annę Seymour Daner, rzeźbiarkę, która wzbudziła powszechną nienawiść do siebie żywiąc otwarcie przyjazne uczucia dla Napoleona, z którym się dobrze znała. Znajduje się tam też grobowiec francuskiego generała nazwiskiem Dumouriez, którego król Ludwik XV wysłał kiedyś do Polski jako swego dyplomatę. Wreszcie nie bez pewnego symbolicznego znaczenia jest fakt, że Lady Elizabeth Perian (zmarła w r. 1621) założyła w Henley szkołę dla biednych chłopców.

Tak się składa, że dzisiaj powstaje w Fawley Court szkoła dla polskich, uchodźczych dzieci. Przygotowywać ona będzie do życia tak samo jak szkoła angielska. Lecz oprócz tego pielęgnować będzie w chłopcach katolicyzm i polskość. Przepisy szkolne głoszą, że chłopcom nie wolno rozmawiać między sobą inaczej jak tylko po polsku. Poza normalnymi zajęciami, takimi jak w szkole angielskiej, chłopcy otrzymują wiedzę z zakresu tzw. przedmiotów ojczystych.

MUZEALNE ZBIORY

W nauce polskiego dużą rolę odgrywają zbiory, które pieczołowicie uzupełnia ojciec Jarzębowski. W jednej z sal parterowych odbywa się obecnie wystawa pamiątek powstania styczniowego. Pomiędzy nimi znajduje się kolekcja fotografii, dokumentów i manuskryptów Traugutta, sztychy, reprodukcje i współczesne druki.

Szafy biblioteki, umeblowanej pysznymi antykami, jak dwa niezmiernie proste i skończenie piękne krzesła hiszpańskie z XVI w., pełne są rzadkich książek, pierwszych wydań wieszczów, bezcennych starych czasopism polskich, poloników najróżniejszego rodzaju, jest kilkanaście egzemplarzy czasopism i książek Polski Podziemnej, są nawet prastare inkunabuły.

TO, CO ZOSTANIE

Fawley Court jest więc szkołą, ale jest i polskim muzeum. Muzeum — może to słowo nieodpowiednie, bo przywołuje na myśl zbiory najróżniejszych przedmiotów, na których nikt, poza garstką specjalistów, się nie zna. Pamiątki Fawley Court natomiast każdemu Polakowi mowią nieskończenie wiele, każdy znajdzie między nimi coś, co kojarzy się z najwcześniejszymi wspomnieniami dzieciństwa. Kraj nasz, ciągle napadany, jak nie ze wschodu to z zachodu, a najczęściej i z zachodu, i ze wschodu równocześnie, potrzebuje takiego spokojnego kąta, gdzie pamiątkom narodowym nie grozi bomba ani rabunek. Gdy Polska „wybuchnie" po raz wtóry, gdy wszyscy, albo prawie wszyscy, wrócimy, by obejrzeć rodzinne kąty, Fawley Court powinien pozostać. Uradujemy się odzyskaną wolnością, ale nie możemy zapomnieć, że ten pałac kiedyś może znowu stać się naszą ucieczką.

Zbiory Fawley Court są skromne w porównaniu z instytucjami starszymi, są kropeleczką w porównaniu z takim oceanem jak British Museum. Ale Polacy przybyli tu przed zaledwie paru miesiącami. By zapuścić pewniej korzenie w henleyowski grunt trzeba, jak mówi ojciec Superior, dwóch rzeczy: czasu i pieniędzy.

Jak się rzekło, Fawley Court kosztował £ 10.000, z czego połowę trzeba było zapłacić gotówką. A potem najniezbędniejsze remonty: na pozbycie się grzyba, który zarósł kawałek ściany na wysokość dwóch pięter, poszło przeszło £ 1.000. Trzeba było też zreperować dach, by grzyb nie odrósł, by do pałacu nie ciekło. Wewnątrz trzeba przeprowadzić wiele robót, zbudować kuchnię, która by mogła obsłużyć gromadkę chłopców. Na spłacenie długów i przeprowadzenie najniezbędniejszych robót potrzeba w tej chwili £ 6.000. Toteż ojciec Jarzębowski wpadł na świetny a prosty pomysł.

TOWARZYSTWO PRZYJACIÓŁ GIMNAZJUM W FAWLEY COURT

Jak wiadomo, w Kraju istnieje, czy też do niedawna istniało Towarzystwo Przyjaciół Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Uniwersytet w Lublinie, czyli tzw. KUL, nie otrzymywał od rządu żadnych subsydiów i musiał kombinować sam. Zwrócił się więc do społeczeństwa o poparcie, a społeczeństwo poparło KUL tak ofiarnie, że w całości utrzymało nie tylko uniwersytet, ale także i pokaźną grupę niezamożnych studentów. Ojciec Jarzębowski niewątpliwie pamiętał o tym, gdy do społeczeństwa emigracyjnego zwrócił się z apelem o pomoc dla Fawley Court. W rezultacie powstało Towarzystwo Przyjaciół Fawley Court, które zajmować się będzie zbiórką pieniędzy i darów. Przed emigracją jednak stoi zadanie bardzo trudne. Pieniędzy trzeba dużo, bardzo dużo, jeżeli wziąć pod uwagę sumy, jakie dotąd zebrano na inne cele. Ale też powodzenie Akcji pomocy dla Fawley Court może odbić się echem i za 50, i za 100 lat. Jest to praca naprawdę długofalowa.

Teraz, w chwili, gdy nareszcie doszło do zjednoczenia politycznego emigracji, można oczekiwać, że Skarb Narodowy będzie rosnąć prędzej i że przeznaczy większe sumy na sprawy kulturalno-oświatowe. Fawley Court jest oczywistym kandydatem na pierwsze poważne subsydium. Lecz Polacy na uchodźstwie nie powinni ani na chwilę zapominać, że odpowiedzialność ciąży na wszystkich. Jest to walka o byt, i równocześnie walka o przyszłość.

CZY BĘDĄ MUSIELI SIĘ WYNIEŚĆ?

W tej chwili szkoła liczy tylko 15 uczniów. Nie dlatego by brakowało kandydatów, ale dlatego że szkoła jest dopiero w stadium organizacji, a zresztą zaczęła się w styczniu, a więc w połowie roku szkolnego. Jesienią bieżącego roku zapełni się jednak i nauka ruszy pełną parą. Czas wolny chłopcy spędzać będą w 28-akrowym parku, którego granicę stanowi Tamiza. Sławne na cały świat regaty w Henley, zapoczątkowane w roku 1839, trasę swoją mają wzdłuż parku Fawley Court. Na łąkach chłopcy będą grać w piłkę, będą bawić się w Indian, albo rozmyślać nad „Panem Tadeuszem" w cieniu „świątyni dumania", zbudowanej wśród drzew w XIX wieku przez jakichś romantycznych Anglików, ozdobionej rzeźbami, które wykuły greckie dłuta. Czy emigracyjne społeczeństwo dopuści do tego, by ci chłopcy martwili się, że może już jutro będą musieli się wynieść?

Latem szkoła oo. marianów w Hereford gościła chłopca z Niemiec, sprowadzonego do Anglii na wakacje przez Zjednoczenie Polskie, o czym pisaliśmy w „Gazecie Niedzielnej" z dnia 6 września 1953 r. Gdy chłopiec ten musiał wracać, bródka mu się trzęsła, mimo że wracał do rodziców — ale nie do polskiej szkoły. Na szczęście udało się go sprowadzić do Anglii na naukę. Rzeszy takich chłopców nie wolno pozbawiać nauki w polskiej szkole.

PRZEŁAMAĆ CHŁÓD OBOJĘTNOŚCI!

Piwnice Fawley Court są tajemnicze. Zbudowano je w XI wieku, za czasów normandzkich. Pełno w nich zakamarków, są chłodne i czuje się to, że w nich mieszka 9 stuleci. Gdzieś znajduje się wejście jakiegoś tunelu, prowadzącego nie wiadomo dokąd, gdzie indziej stoi ściana, która — mówią — zagradza wstęp do tunelu prowadzonego popod Tamizą, też nie wiadomo dokąd. W piwnicach brzmi teraz polska mowa, w jednej z nich, wspartej pośrodku romańską kolumną, ojciec Jarzębowski urządzi czytelnię pism. My, emigracja, możemy postarać się o to, by w tych wiekowych piwnicach, prawie tak starych jak państwo polskie, zamieszkała polskość już na zawsze. Samorząd Oxfordshire nie pomoże na pewno, bo katolickość szkoły im nie w smak.

W czasie wojny domowej Fawley Court wsławił się długą i bohaterską obroną w uciążliwym oblężeniu. Oby teraz wytrzymał oblężenie przeciwności i oby jego murów nie rozsadził chłód obojętności, to stanie się twierdzą polskiej kultury.

Fawley Court jest wspaniały, że aż się nie chce wierzyć: więc to my, Polacy, mamy to na własność! Kto ma okazję pojechać do Henley-on-Thames, niech tam zajrzy. Wyjdzie oszołomiony pięknem i nawet ilością nie tylko pamiątek polskich, ale i sufitów, marmurowych kominków, kańskich, doskonałych kopii oprześlicznych świątków meksybrazów mistrzów „cinquecenta" i wspaniałych mebli, i wzruszy się widokiem gromadki zdrowych, rumianych, urwipołciowatych i doskonale wychowanych chłopców.

W. Gniatczyński



KRÓLEWSCY SYNOWIE

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

Powieść Kraszewskiego „Królewscy synowie" należy do rzędu powieści historycznych podobnie jak „Stara Baśń", „Lubonie" i „Historia o Petrku Właście". Są to dzieje panowania Władysława Hermana (1079-1102) władcy słabego i niezdecydowanego, na którego przemożny wpływ wywierał wszechwładny wojewoda Sieciech. Powieść ukazuje zarazem potężny wpływ duchowieństwa i hierarchii kościelnej na postępowanie ówczesnych ludzi, nie wyłączając głów koronowanych. W cytowanym poniżej rozdziale arcybiskup płocki Marcin, Lambert krakowski i Paulin Ciołek kruszwicki występują w roli obrońców ładu, praworządności i sprawiedliwości rządów w państwie i swym potężnym, ale błogosławionym naciskiem na głowę państwa skłaniają monarchę do oddalenia od siebie niefortunnego doradcy i zausznika — wojewody Sieciecha, który zostaje skazany na wygnanie. Natychmiast potem król zrzeka się dobrowolnie panowania i prosi z płaczem arcybiskupa Marcina o spokój, „aby za grzechy mógł Boga przebłagać i reszty dni dożyć w ciszy nie jako król, ale człek znękany, który umrzeć pragnie w zgodzie z sumieniem".

ROZDZIAŁ IX

DNI KILKA upłynęło; z jednej strony sposobiono się ciągle do obrony, z drugiej do oblegania i szturmu. Magnus się troszczył tylko o to, co uczyni, jeżeli się rokowania i zwłoki przedłużą, a mrozy i zima nadejdą. W obozie wojnę, na dworcu biskupim duchowieństwo zgodę i układy gotowało.

Wieść o tym, co zaszło, i posły, przez o. Filipa rozesłane do Gniezna, Krakowa, Kruszwicy, zgromadziły znaczny zastęp prałatów do Płocka. Na czele ich stał nieprzyjazny Sieciechowi arcybiskup Marcin, zastosowujący się doń Lambert krakowski i Paulin Ciołek kruszwicki. Pośpiesznie podążyli na zawołanie wszyscy, bo i sprawie Kościoła zawichrzenie to szkodliwym było.

Na zamku królowa i wojewoda gotowi byli bronić się do ostatka, słać do obozu królewiczów, aby starszyznę przyciągnąć na swoją stronę, użyć wszelkich środków, by się przy władzy utrzymać. Spiskowano tu, nocami wyprawiano ludzi poprzebieranych, czynność była gorączkowa, zapamiętałość coraz większa.

Tymczasem na dworcu biskupim zebrani duchowni, zgorszeni, zatrwożeni, przez o. Marcina podbudzani mocno, postanowili nie dopuścić do walki. Przed ich potęgą korzyło się ostatecznie wszystko.

Arcybiskup Marcin, zaledwie zsiadłszy z konia, głośno zapowiedział, że między ojcem a dziećmi dla jednego ambitnego człowieka boju nie dozwoli, kościelną władzą zagrozi i powstrzyma go.

Gdy na zamku Sieciech i królowa dowiedzieli się o przybyciu biskupów, wojewoda uląkł się i zwątpił w sobie — arcybiskupa obawiał się najbardziej.

Nie dając czasu o. Marcinowi do widzenia się z królem, wojewoda natychmiast z pocztem pojechał na dworzec biskupi.

Właśnie na radę około arcypasterza gromadzili się duchowni, gdy ujrzano nadbiegającego wojewodę. Z daleka palcem nań wskazując zmarszczony starzec zawołał:

— Ten ci to jest, przez którego zgorszenie i nieszczęście na nas przychodzi.

Gdy w progu ukazał się Sieciech, trzej pasterze siedzieli już milczący, otaczając w pośrodku nich zajmującego pierwsze miejsce arcybiskupa. Twarz jego zwykle łagodna, teraz była gniewną, surową, straszną. Samo milczenie, którym na pozdrowienie odpowiedział, groźnym było i pełnym znaczenia.

— Ojcze najprzewielebniejszy — zawołał dumnie Sieciech — choć nie powołany staję tu jakby na sąd wasz dobrowolnie. Obwiniają mnie tu wszyscy wrogowie moi, chcę, abyście sądzili między mną a nimi.

— I sądzić musimy a będziemy — zawołał arcybiskup uroczyście — sądzić będziemy nie ludzkim sądem, ale Bożym. Tak, naszą rzeczą jest nie dopuścić do zgorszenia. Wy, wojewodo, jesteście kamieniem obrażenia, wy słabym królem władniecie, wy królową, wy przekupionymi ludźmi!

Sieciech, stojąc zarumieniony, z lekka próbował uśmiechać się szydersko.

— Tak — rzekł — teraz tu nie ma winowajcy, jeno ja, nie ma zbrodniarza, tylko ten — wskazał na siebie — ten jest zabójca, łupieżca, zdrajca, cudzołożnik. Lecz posłuchajcież obwinionego, bo sąd rozbójników słuchać winien.

— Gdy nie są pochwyceni na gorącym uczynku! — odparł arcybiskup.

Oczyma surowymi mierzyli się duchowni, zachęcając do wytrwania w tym usposobieniu.

— Cóż możecie mieć na obronę waszą? — dodał starzec.

— Ja? Króla mam, króla i jego słabość — zawołał Sieciech. — Gdyby nie ja, rozpadłoby się królestwo to na kawały, zajechaliby je nieprzyjaciele. Pomorcy by krzyże powywracali, Czesi znowu łupili kościoły! Gdy nie było władzy i dłoni, musiałem panować ja, aby bezkrólewie nie nastało. Nie na króla, nie na królewiczów, nie na mnie patrzcie, którzy wszyscy śmiertelni jesteśmy, ale na państwo to i na losy jego!

Arcybiskup i towarzysze jego milczeli długo; począł w końcu ojciec Marcin pomyślawszy:

— Nie o państwo to ani o ziemię szło wam, wojewodo, ale o własną sprawę. Chcieliście korony dla siebie. Mąciliście wodę, aby łatwiej w niej łowić. Znamy was nie od dziś dnia. Nie będzie was kosztowało nic przez krew dojść do panowania. Aliści władza świecka w tym królestwie, jako w innych, pod naszą jest, pod Bożą; my stoimy jako kapłani na straży sprawiedliwości. Papież korony rozdaje i z tronów strąca, my wiążemy i rozwiązujemy. Piotrową mocą myśmy sędziami, my nie dopuścimy, aby się srom dział panu a dzieciom krzywda. Myślicie się opierać? Stawajcież jako Masław z pogany i po pogańsku, bo po chrześcijańsku nie możecie. Ustąpić musicie z królestwa tego, a my pokój uczynimy!

Wojewoda ostatnie wyrazy posłyszawszy zbladł, zachwiał się.

— Ja mam więc za winy wszystkich odprawiać pokutę? — rzekł.

— Bo wy zgrzeszyliście najwięcej — dodał arcybiskup.

Sieciech spojrzał na biskupa Filipa, który mu groźnym odpowiedział wejrzeniem, potem na Lamberta, który miał oczy spuszczone i milczał patrząc na otwartą księgę, na Paulina w ostatku, ale ten się nie odzywał i z założonymi na piersiach rękami ku stropowi spoglądał.

Wojewoda nie mówił nic, oczy mu zachodziły krwią, która ze zbladłych warg ustępowała.

— Idźcie! — dorzucił o. Marcin. — Dopóki możemy ocalić wam życie, idźcie!

— Gdybym chciał — odezwał się niewyraźnie Sieciech — król odejść mi od siebie nie da. Król się nie obejdzie beze mnie, ufa mi. Wie, że nawet własnym dzieciom wierzyć nie może, że tylko ja jemu byłem wiernym. Ja!

— Tak — odpowiedział arcybiskup — król w rękach waszych jako ciasto, które urabiacie na taki placek, jaki wam do smaku! Wiem o tym. Mnie królewska moc nie zastrasza; pomazańcem on Bożym nie jest, korony nie miał, panował z przyzwolenia naszego i ziemian, gdy cofniemy je my i oni,, ustanie moc jego.

Wojewoda, któremu wyrazów na obronę zdało się braknąć, stał przybity. Dano mu chwilę namysłu, o. Marcin mierzył go oczyma.

— Wy, ojcze przewielebny — odezwał się Sieciech — nie od dziś dnia jesteście mi nieprzyjacielem.

— Tak, bom ja was poznał zawczasu — mówił starzec — bom patrzał na sprawy wasze i w sercu czytał. Ujęliście sobie sromotnie królową, niewiastę nieopatrzną i płochą, króla ujarzmiliście, Zbigniewa chcieliście się pozbyć klasztorem i więzieniem, Bolka zabójstwem.

— Potwarz! — wybuchnął Sieciech.

— Ci, którym płaciłeś za to, świadczą przeciw tobie — przerwał arcybiskup. — Idźcie, sprawa wasza osądzona. Myślcie, aby ustąpić póki czas.

Starzec ręką wskazał drzwi, ale wojewoda stał nieporuszony.

— Takli ma być — przebąknął. — Ani król, ani ja nie ustąpimy, wojny się nie ulękniemy. Będzie wojna!

— Ja nie dopuszczę do wojny! — powstając krzyknął arcybiskup. — Ja, com od was obu silniejszy Chrystusowym ramieniem, świętokradzkiego tego krwi przelewu nie dozwolę. Rzucę między wojska laskę moją, krzyż pański, na który nikt się nastąpić nie waży. Nie wzywajcie tej potęgi, od której zginął królewski brat! Pomnijcie na los jego...

Wojewoda spuścił głowę, jak złamany tą groźbą.

— Ojcze — odezwał się głosem słabym — nie ojcowskie, nie pasterskie są to słowa.

— Bo nie synowskie czyny wasze — wołał arcybiskup.

— Jam dla wiary chrześcijańskiej pracował, klasztory uposażałem, krzewiłem ją, rozprzestrzeniałem — rzekł Sieciech. — Władzy pragnąłem tylko dlatego, abym pogaństwa resztę mógł wytępić. Kościół...

— Kościół i bez was stać będzie! — odparł unosząc się starzec. — Nie troskajcie się wy o Chrystusa, a korzcie się przed mściwą ręką Jego. Nic skażonego nie wnijdzie do królestwa Bożego i was za sługę nie potrzebujemy, chyba w pokutniczej szacie.

Wojewoda jeszcze się z wyjściem ociągał, gdy ojciec Lambert, wzrok skierowawszy ku niemu, wskazał mu oczyma aby izbę opuścił.

Starzec zarumieniony był i gniewny. Słowa nie mówiąc wojewoda ustąpił.

Po wyjściu jego milczenie panowało długą chwilę, aż biskup Filip się odezwał:

— Kto wie, czy nas teraz wojewoda dopuści do króla?

Arcybiskup wstał żywo.

— Mnie? — zapytał. — Śmiałby?

Od dworca do zamku nie było daleko, mała przestrzeń je dzieliła.

— Idziemy natychmiast do króla — dodał ojciec Marcin.

Przywołano kapelana i kleryków, arcybiskup wdział swe suknie uroczyste, krzyż wzięty z kościoła krucyferowi*) rozkazując nieść przed sobą. Duchowieństwo i prałaci towarzyszyć mieli i poprzedzać pasterza. Biskup Filip w dzwon kościelny kazał uderzyć.

Arcybiskup nie dał się powstrzymać ani na chwilę; natychmiast ustawił się orszak duchowieństwa, przyodzianego w komże, z krucyferem na czele, biskupi otoczyli ojca Marcina i nieustraszony starzec skinął, aby szli ku zamkowi.

Z dala już musiano widzieć ten pochód uroczysty. Dziedziniec około dworca królewskiego pełen był ludzi, wojskowych, koni, dowódców, żołnierzy.

Sieciech nie miał czasu wydać rozkazów, a gdyby nawet był zalecił nie dopuszczać arcybiskupa, próżnym by to było, bo poprzedzanemu przez krzyże, idącemu w ubiorze pontyfikalnym nikt w świecie nie byłby śmiał drogi zapierać.

Rozstępowali się co prędzej wojskowi, niektórzy na kolana padali, inni cisnęli się do rąk biskupów całując je i dopraszając się błogosławieństwa. Sędziwy pasterz doszedł tak do drzwi dworca bez najmniejszej przeszkody.

Tu komornicy, dworscy, czeladź, wszystko, co nad miarę pobożnego króla otaczało, rozstąpiło się posłusznie; nikt nie śmiał wątpić nawet, iż król musi przyjąć duchowieństwo, dla którego przystęp był zawsze wolny.

Otwarto szerokie podwoje izby, w której siedział Władysław; starzec ze swym otoczeniem całym ukazał mu się niespodzianie. Na widok jego król zmieszany podniósł się naprzód z siedzenia ruchem gwałtownym i upadł na nie wpółomdlały. Wojewoda tylko co był wszedł do niego nie mając czasu na rozmowę, gdy duchowni we drzwiach się zjawili. Arcybiskup z towarzyszami swymi, resztę prałatów zostawując w przedsionkach, śmiałym krokiem zbliżył się do króla.

— Miłościwy panie — odezwał się surowo spoglądając na wojewodę — przychodzimy do ciebie samego i pragniemy rozmowy bez świadków.

Oczyma przelękłymi jakby litości prosząc, król Władysław mierzył arcybiskupa, a razem pochwycił za rękę Sieciecha dając znak, że nie chce, by się oddalał.

— Ojcze, ja bez niego nie mogę nic, proszę was!

— A my z nim i przy nim nic nie możemy — odezwał się o. Marcin surowo. — Dziecię z matką będąc piastunki nie potrzebuje. Kościół jest matką waszą, miłościwy królu.

Wojewoda stał jeszcze, gdy arcybiskup dodał łagodniej.

— Błagam was, panie, oporu Kościołowi nie stawcie, nie sprzeciwiajcie się jego władzy, bo dobra waszego chce i pokój przynosi z sobą. Bądźcie pamiętni na los brata waszego!

Strwożony tym przypomnieniem król załamał ręce puściwszy dłoń wojewody i pochylił się zdając tracić przytomność. Potem wzrokiem nieśmiałym Sieciechowi wskazał, ażeby ustąpił.

Wojewoda był zmuszony cofnąć się nareszcie i postąpił kilka kroków, gdy majestatycznie, dumnie, z gniewem na twarzy weszła królowa Judyta. Widać w niej było ową siostrę cesarską ufającą w potęgę brata.

Wstrzymała się niedaleko od progu.

— Król a małżonek mój — poczęła — chorym jest na ciele i umyśle. Dlaczego przewielebność wasza o sprawach państwa z nim mówić chcecie, gdy ma namiestnika i zastępcę?

Arcybiskup wcale nie zmieszany zapytaniem odpowiedział z przyciskiem.

— Dlatego, miłościwa pani, że namiestnik ten nie zastępuje króla, ale sam nim chce być. Wasza miłość zechcecie nam bez przeszkody dozwolić mówić z panem naszym; potrzeba jest tego wielka.

Twarz królowej oblała się rumieńcem.

— Wy, tu, ojcze przewielebny, nie najwyżsi jesteście — zawołała. — Rzym nad nami i wami jest. Ja poślę do papieża, do cesarza.

— Ślijcie, miłość wasza, do kogo wam się podoba — rzekł spokojnie arcybiskup — ja też słać będę. My w królestwie tym cesarzowi nie podlegamy; chociaż go szanujemy, poddani jesteśmy Rzymowi i ojcu naszemu jednemu tylko. Z rąk jego odebrałem instytucję*) i paliusz**). Boga tylko i jego znam nad sobą.

Zagniewana królowa chciała mówić jeszcze, gdy przerażony coraz bardziej król, rękami gwałtownie poruszając, dał znak, by ona i Sieciech odeszli.

Zmierzywszy złośliwymi oczyma duchownych, Judyta razem z wojewodą znikła za zasłoną.

Arcybiskup zwolna i łagodnie przybliżył się do króla, a widząc go drżącym i aż do omdlenia prawie stwożonym, rzekł doń:

— Niech się uspokoi dusza wasza, miłościwy panie, niech błogosławieństwo Boga pokoju, zgody i miłości zstąpi na nią w Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Amen.

Król przeżegnał się z pośpiechem.

— Gałąź oliwną niesiemy ci, miłościwy królu — mówił dalej arcybiskup — nie wojnę. Sieciech was kusi do niecnej walki z dziećmi własnymi; my jej nie dopuścimy w imię Kościoła.

Król nie odpowiadał nic, brak mu było doradcy, patrzał dokoła, jak gdyby Sieciecha szukał.

— Nie sądźcie, miłościwy panie — ciągnął dalej arcybiskup — ażebyście przy sobie mieli siłę; wojewoda mami was tym, jako mamił i oszukiwał w rzeczach innych. Tyle macie ludu, ile on go złotem kupić zdoła. Ludzie się brzydzą bratobójstwem Kaina i rzucą broń przy pierwszym spotkaniu. Sromotnie pobiją was dzieci, a ten sam wojewoda, którego ocalić pragniecie, zginie w walce albo gorzej — od oprawcy!

Król jęknął.

— Tak, Sieciecha i zdrady jego wyrzec się trzeba — mówił starzec. — Błagam was o to w imię Kościoła, matki naszej! Nie zgodzicie się, ja krzyż mój rzucę między szeregi, aby, depcząc świętokradzko wizerunek Zbawiciela, musiały iść na siebie, tak jak ewangelię depcząc pójdą zabijać braci.

Na królu mowa arcybiskupa uczyniła wrażenie wielkie; począł płakać, pochylił się do rąk starca i całując je wołał:

— Ojcze mój! Ojcze! Nie nastawajcie na Sieciecha — proszę za nim, ja bez niego żyć nie mogę.

— Grzechem jest obcego człowieka przekładać nad krew, nad dziecię własne — rzekł arcybiskup. — W grzechu śmiertelnym jesteście, nikt was nie rozgrzeszy. Nie chcecie gubić duszy, wyrzeknijcie się tego szatana, który was uwikłał w siecie swoje.

— Uczyńcie, jako prosimy, uczyńcie! Kościół radzi, Kościół nakazuje — mówił ojciec Marcin. — Nie usłuchacie, Kościół, matka wasza, sięgnie po miecz i po tę siłę, jaką ma, by nie dopuścić zgorszenia i zguby!

Groźby te, powtarzające się ciągle, złamały wreszcie króla. Zostawiony sam sobie, strwożony w sumieniu, przestał się opierać, ugiął głowę, zdawał się godzić na wszystko.

— Ocalcie mu życie! — począł błagająco. — Wrogowie na niego nastają! Jeśli go opuszczę, zamordują go mściwi.

— Niech uchodzi z życiem, byle szedł precz z królestwa tego — odezwał się arcybiskup.

Król głowę osłonił rękami.

— Dajcie mi czas! Miejcie litość, nie naglijcie! Nie chciejcie śmierci mej!

Ojciec Marcin ustąpił nieco; nie podobna było nad nieszczęśliwym panem nie mieć politowania.

— Dzień i dwa weźmijcie do rozmysłu — rzekł powolnie — lecz nie ustąpię stąd, dopóki państwu pokoju nie ubezpieczę, a dzieci skruszonych do nóg waszych nie przyprowadzę.

Dalsza rozmowa niemożliwą już była; siły chorego wyczerpały się, ojciec Marcin błogosławił go.

— Bóg niech będzie z wami — rzekł. — Pomnijcie, miłościwy królu, że w rękach waszych są losy królestwa tego i że przelana krew spadnie na sumienie wasze... Niech Bóg odwróci, niech Bóg oświeci, niech Bóg wam doda siły!

— Amen! — dodali towarzysze arcybiskupa.

Wzruszony król chciał do drzwi odprowadzić duchownych, lecz sił mu brakło; podniósł się z siedzenia i padł na nie w niemocy wielkiej. Zimny pot czoło mu oblewał.

Nadeszła nareszcie godzina wieczornych modlitw i, jak zwykle, powołano kapelana królewskiego, aby je z królem odmawiał.

Nim przystąpił do nich, ojciec Lambert, który arcybiskupowi posłusznym być musiał, wezwał króla, ażeby oczyścił swe sumienie przypomnieniem grzechów i rozstrząsnął w sobie, azali przeciw Bogu i władzy Kościoła a tym, co ją sprawiali, nie czuł się winnym.

Milczącemu Władysławowi powtórzył kapelan, że najwyższy pasterz, brat tego, który zasiadał na rzymskiej stolicy, wezwał go do uczynienia zgody i spytał, jak spełnił to żądanie? Nalegał na posłuszeństwo, zbawienie czyniąc od niego zawisłym.

Król nie opierał się już, oświadczył gotowość do wszelkich ofiar, otrzymał błogosławieństwo i modlitwy się rozpoczęły.

Wojewodę musiał poświęcić. Jakkolwiek przywiązany doń, duszy swej zań oddać nie mógł.

Nazajutrz rano, jak świt, obudziwszy się król rozkazał przywołać Sieciecha i sam na sam pozostał z nim długo.

Wojewoda od wczoraj zmieniony i posępny, zdawał się sam widzieć konieczność ustąpienia dla ocalenia życia.

O wszystkim, co się na dworcu działo, wiedział arcybiskup. Z jego ręki czuwał tu posłuszny ojciec Lambert, grożąc interdyktem i klątwą.

Z zamku widać było machiny oblężnicze, które w obozie Magnus kazał przygotować, ściągające się oddziały, zbijane promy i łodzie, które lada chwila przeprawę przez rzekę zapowiadały.

Wojewoda myśleć już musiał tylko, jak w czas uchodzić, aby nie być pochwyconym. Co chwila donoszono mu, iż z pułków jego ludzie gromadami przechodzili do obozu za Wisłę, inni zagrożeni przez duchownych po lasach się rozpraszali. Na pozostałych też coraz mniej rachować było można, tak wpływ księży onieśmielał ich i ochotę do walki odbierał. Rosła na zamku trwoga, której nikt oprzeć się nie mógł.

Ostatnie wysiłki króla wstawiania się za Sieciechem, którego chciał przy sobie, bodaj bez władzy żadnej, zatrzymać, nie powiodły się. Odpowiadano od arcybiskupa, że w takim razie za życie wojewody ręczyć nikt nie mógł, tak nań nieprzyjaciele byli zażarci.

Przez cały ten dzień na przemiany panowały na dworze rozpacz, narzekania, nadzieje pozyskania sobie duchownych darami i obietnicami nadań nowych, ofiarami, które odrzucano, zwątpienie wreszcie i trwoga. Po kilkakroć chodził i wracał uproszony ojciec Lambert od króla i wojewody do arcybiskupa, nic otrzymać nie mogąc nad to, co zapowiedziano — wygnanie.

Gdy upłynął czas dany królowi do namysłu, trzeciego dnia arcybiskup z towarzyszami znowu się udał na zamek, aby usłyszeć odpowiedź stanowczą.

Wojewoda po raz pierwszy stracił męstwo, nadzieję i wiarę w to, ażeby się mógł dłużej utrzymac. Kościół stawał przeciwko niemu, a król z nim walczyć nie mógł.

W izbach królowej lament był i narzekania a groźby. Sieciech tu przesiadywał teraz, bo do Władysława dostęp mu tamowano. Judyta jedna przyszłości się wyrzec nie chciała i starała pocieszać skazanego, który zupełnie zwątpiwszy o sobie siedział złamany, przybity i półmartwy.

— Ustąpić im dziś potrzeba! — mówiła królowa — lecz nie koniec na tym! Niech robią, co chcą, poślę do Rzymu skarżyć, będę słała do cesarza o pomoc, niech przyjdzie i zawojuje ten kraj, a zagarnie. Wy uchodźcie, abyście się przechować mogli do czasu. Do Niemiec wam potrzeba, tam was przyjmą i schronią.

Wojewoda, mając przez żonę stosunki na Rusi, tam się spodziewał znaleźć skuteczniejszą pomoc, więc odparł, że na Rusi woli przebywać.

— Chrońcie się gdzie chcecie — odparła królowa — ale nie oddalajcie się od granicy, aby być w pogotowiu. Ja nie zaśpię, a królowi też pokoju nie dam, aż się to wszystko odmieni... Stary arcybiskup nie pożyje, następca inny być musi, przyślą go z Niemiec lub z Rzymu... Wy powrócicie, wy musicie powrócić, dziś trzeba najdroższe ratować życie.

O tym też tylko i o zemście, którą gotował, myślał Sieciech... Zmniejszony dwór sposobił się w drogę do Sieciechowa, skąd uchodzić miał na Ruś nie widząc się w kraju bezpiecznym. Co godzina zmniejszał się orszak skazanego na wygnanie.

W obozie za Wisłą wiedziano tegoż dnia, że król musiał się zgodzić na opuszczenie Sieciecha, a gdy wobec świadków uroczyste dał na to słowo arcybiskupowi, padł zemdlały, tak że go na łoże przeniósłszy ledwie słudzy mogli do życia przywrócić.

Ojciec Lambert, który jak wielu duchownych naówczas po trosze lekarzem był, pozostał przy chorym niosąc mu zarazem religijną pociechę.

O wygnaniu wojewody w tejże chwili piorunem po obu obozach wieść się rozeszła; wszędzie ją przyjmowano okrzykiem radosnym. Wojsko, starszyzna, duchowni, lud, dla którego wojna była najstraszniejszą klęską, ciesząc się powtarzali, iż Sieciecha już nie ma!

Dumny Sieciech, przed którym niedawno płaszczyło się wszystko, miał teraz tylko czeladź i niewolnych ludzi przy sobie.

Co się w duszy nagle upadłego człowieka dziać musiało, któż wypowie?

Jedni drugich ostrzegali, aby się nikt nie ważył iść z nim i na niepewne puszczać losy, bo mu wszystkie posiadłości i ziemię zabrać miano i wywołanym być miał na wieki.

Przechodzącego przez podwórza omijano z daleka, niektórzy kryli się przed nim do przedsieni i po szopach, aby gwałtem nie pociągnął ich z sobą.

Wojewoda chciał raz jeszcze iść do króla. Komornicy, którym arcybiskup i duchowni surowe wydali rozkazy, stanęli u drzwi nie dopuszczając wnijścia. Zażądał, aby ktoś od niego z poselstwem udał się do pana, nie znalazł człowieka, co by się tego podjął.

Niektórzy ze śmielszych dworzan króla dobrali tę chwilę, aby mu przypomnieć, jak się dawniej z nimi obchodził, i wyrzucać mu w oczy prześladowanie, które cierpieli od niego. Odegnany ode drzwi, ujść musiał z niczym.

Pozostawała mu jedna królowa, która wyrzekając, płacząc i przeklinając, swoimi ludźmi, Niemcami i Węgrami, otoczyła go dla bezpieczeństwa.

Ze szczupłą garstką czeladzi Sieciech puścić się nawet nie śmiał do granicy i wahał się, co pocznie, gdy ze dworu Judyty dano znać o posłuchu, że spisek był uczyniony i, jeśliby pozostał dłużej, miano go wydać w ręce Magnusa. Królowa sama zaklinała i nagliła do odjazdu.

Nadchodził wieczór, nie było chwili do stracenia, wojewoda w komnacie królowej wdziawszy opończę szarą i czapkę prostą pobiegł do koni swych ludzi. Kilkudziesięciu ledwie zastał w miejscu, bo wszyscy, wygnaniem zastraszeni, kryli się i uchodzili.

Przed nocą trzeba było zamek opuścić. Jeden gościniec ku lasom pozostał jeszcze wolnym i tym o zmroku musiał Sieciech pospieszać na zamek swój, nimby do Sieciechowa nadeszła wiadomość o jego upadku, aby żonę, dziecię i skarby ocalić.

Zaledwie wyjechał za bramy, nie poznany szczęściem, gdy arcybiskup Marcin wysłał kapelana swego do Zbigniewa, aby zwiastował pokój, przebaczenie i wygnanie wieczne Sieciecha, którego król wyrzec się musiał.

Zarazem Władysław zrzekał się dobrowolnie panowania, zostawując sobie tylko Płock i kilka grodów na Mazowszu. Z płaczem prosił o. Marcina o spokój, aby za grzechy mógł Boga przebłagać i reszty dni dożyć w ciszy nie jako król, ale człek znękany, który umrzeć pragnie w zgodzie z sumieniem.

Późno w noc przeprawiwszy się czółnem za Wisłę, kapelan, arcybiskupi dostał się do obozu i namiotu Magnusa.

Zaledwie usta otworzył, gromada, która biegła z nim, zasłyszawszy: pokój — rozpierzchła się po namiotach. Krzyki odzywały się zewsząd radosne, ochocze, wesołe, ludzie z dalszych stanowisk porzuciwszy kotły, ognie, lecieli, aby się dowiedzieć i odnieść swoim wieść dobrą.

Noc cała spłynęła w radości wielkiej, ochocie i śpiewach; co było czółen, promów i tratew chwycili wnet ludzie, aby do Płocka płynąć i co prędzej swoich zobaczyć.

Z zamku też od króla pośpieszyli niektórzy do królewiczów i Magnusa, a co było młodzieży — do Bolka. Ten radował się tylko tym, że ojca zobaczy znowu i rękę jego ucałuje. O niego dowiadywał się od wszystkich, nad nim bolał i rad był pośpieszyć ku niemu. Zarazem Pomorcy, którzy się o Santok kusili, niepokojem go nabawiali; chciał biec bronić granicy.

— Jutro do króla — wołał do swoich — a gdy o niego będziemy spokojni, pojutrze, kto żyw z moich, na Santok, na pogany!

Młodzież wtórowała mu ochotnie, powtarzając:

— Na pogan! na Pomorce!

Zbigniew stał obojętny i słuchał.

— Mnie — rzekł — pilniej do Gniezna, aby precz wymieść tych, co mi tam gospodarowali, ład zaprowadzić i spocząć po tych utrapieniach.

Wojna ta, a raczej włóczęga, spanie pod namiotami, żołnierskie jadło, słoty, zimna, niewygody srodze Zbigniewowi dokuczały. Niczym były benedyktyńskie posty i twarda pościel klasztornej celi obok głodu w pochodzie, snu na trawie przemokłej, niepokoju dniem i nocą, z dodaniem konia, który nogi rozłamywał, i zbroi, co ramiona ciężarem dusiła.

— Na Pomorców naprzód pójdziemy! — rzekł do niego Bolko.

— Tylko nie ja — odezwał się Zbigniew — ja pod dach na spoczynek; wy jak wola! Mnie się siły wyczerpały.

Drużyna Bolkowa odwróciła się od niego; poszedł się pocieszać z Zahoniem do swojego namiotu.

---

*) Krucyfer — ksiądz niosący w czasie uroczystości srebrny krzyż przed arcybiskupem.

*) Instytucja — uroczyste powierzenie duchownemu urzędu.

**) Paliusz — taśma z białej wełny z czarnymi krzyżami.

TRZEJ EMERYCI

JERZY KOSSOWSKI

PUŁKOWNIK wiedział, że inaczej być nie może, a sierżant Adamczyk nie mógł tego w ogóle zrozumieć.

— Ci młodzi, panie pułkowniku, nic bez nas nie zrobią! — mawiał podczas codziennych przechadzek Adamczyk. — Nas, starych, usuwają, pensjonują, a sami jeszcze nie mają doświadczenia. My wiemy, co to jest wojna, bośmy w kilku wojnach brali udział już jako dojrzali ludzie i na odpowiedzialnych stanowiskach. A pomiędzy tymi młodymi, jeżeli nawet ten i ów był na wojnie, to jako szeregowiec, a w najlepszym razie jako młody podoficer.

— No, tak ogólnie nie można twierdzić, kochany Adamczyk — mawiał znowu pułkownik. — Pomiędzy tymi młodymi jest wielu takich, którzy i oficerami byli...

— Et, subalterny!

— Może, ale też bardzo wielu jest zdolnych, nawet bardzo zdolnych i szkoły wyższe nawet za granicą kończyli...

— Co tam wszystkie szkoły, panie pułkowniku! Wojna to najlepsza szkoła! Bez nas starych, porobią głupstwa rozmaite, zobaczy pan pułkownik!

Pułkownik się uśmiechał, machał ręką na znak, że uparciuchowi niczego nie wytłumaczy i dreptał dalej, a tuż obok niego, a właściwie pół kroku w tyle maszerował Adamczyk, gderząc uparcie, choć z niejakim przecie respektem.

— Albo, panie pułkowniku, takie rzeczy: Sztandar! Chodzę po mieście, i czytam gazety, i słyszę to i owo. Pułk miał stary sztandar, a raczej ma go jeszcze. Sztandar piękny, zasłużony, dekorowany Virtuti Militari, a że tam podarty był trochę, to i co? Jest sztandar pamiątkowy i wszyscy z naszego rocznika go znają. I co się dzieje: w mieście zawiązuje się komitet dla wręczenia pułkowi nowego sztandaru. Po co? Diabli wiedzą, z przeproszeniem pana pułkownika. Pewnie dlatego, że lubią parady, uroczystości. I proszę, niech pan pułkownik łaskawie powie: czy stary sztandar już nie może dalej pełnić służby? Koniecznie musi być nowy? Czy w ogóle wszystko koniecznie musi być nowe? Z tym sztandarem, to zupełnie tak samo, jak z nami. Starzy jesteśmy, tak, to prawda, ale żeby znowu koniecznie trzeba było wsadzać nas do lamusa? Ja bo o sobie wiem, że jeszcze niejednego młodego przeskoczę!

Pułkownik szedł chwilę w milczeniu i zatrzymał się nagle:

— Z tym sztadarem, to masz rację, kochany Adamczyk, to jest zupełnie inna sprawa. Z tym sztandarem, to masz słuszność... Ale czy wiesz o tym na pewno?

— A jakże, panie pułkowniku. Ten komitet istnieje już dosyć dawno i nowy sztandar jest już gotowy. Nawet na przyszły tydzień mają go pułkowi wręczyć. Podobno w sam dzień pułkowego święta.

Pułkownik się zamyślił tak głęboko, że minął punkt, w którym zwykle zawracał ku miastu.

— Może już wrócimy, panie pułkowniku — przypomniał Adamczyk.

— A tak, wrócimy...

Szli teraz w milczeniu ku miastu.

— Zaraz ja panu pułkownikowi kupię świeżą gazetkę — rzekł Adamczyk, wchodząc do jakiegoś jasno oświetlonego sklepu. Wyszedł po chwili i pokazywał z triumfem.

— O, widzi pan pułkownik? Na pierwszej stronie jest artykuł: Wręczenie nowego sztandaru naszemu pułkowi.

— Ciemno tu i nie widzę.

— Ja w sklepie przeczytałem — mówił Adamczyk. — Wziąłem dwa numery. Jeden dla pana pułkownika, a drugi dla siebie.

Pułkownik wziął w milczeniu od starego sierżanta gazetę i wsadził ją do kieszeni.

— Trzeba iść do domu — mruknął. — A przypomnij mi jutro, żebym ci oddał dwadzieścia groszy. Nie mam przy sobie drobnych.

— Przypomnę, panie pułkowniku. A jak nie przypomnę, to pan pułkownik nie zapomni. My starzy, nawet o takich głupstwach pamiętamy. Nie tak, jak ci młodzi. Ci o niczym nie pamiętają.

— Ej, już przesadzasz, kochany Adamczyk, z tymi narzekaniami na młodych — skrzywił się pułkownik. — O niczym innym nie mówisz, tylko o tym. Gotówem pomyśleć, że naprawdę się starzejesz.

Sierżant Adamczyk wzruszył lekko ramionami, ale nic nie odpowiedział. Odprowadził pułkownika, jak codziennie, aż pod domek, gdzie stary emeryt mieszkał, zasalutował, uścisnął z szacunkiem podaną sobie rękę i poszedł.

Pułkownik otworzył furtkę ogrodzenia domku, minął niewielki ogródek, pchnął drzwi, prowadzące do sieni i mrucząc pod nosem szukał klucza po kieszeniach. Po długiej chwili otworzył, zapalił światło i nie zdejmując płaszcza rozłożył gazetę na stole. Wziął do ręki, oprawione w metalową obręcz, powiększające szkło i czytał: „Piękne święto naszego pułku. — W dniu dwudziestym czwartym marca pułk nasz otrzyma piękny podarek w postaci nowego sztandaru, ofiarowanego mu przez komitet pod przewodnictwem burmistrza naszego miasta. Sztandar, zakupiony ze składek publicznych, wykonany przez stołeczną firmę..." — pułkownik minął szybko kilka wierszy i czytał dalej: — „... Uroczyste wręczenie sztandaru odbędzie się w dniu święta pułkowego będącego, jak wiadomo, rocznicą przysięgi Kościuszki na Rynku Krakowskim. Po nabożeństwie w kościele parafialnym, wbijanie gwoździ odbędzie się na dziedzińcu koszar... Mowę w imieniu komitetu wygłosi prezes komitetu... burmistrz... po czym nastąpi odprowadzenie starego sztandaru do sali rady miejskiej, gdzie pozostawać będzie do chwili odesłania go do Muzeum Wojska..."

Stary żołnierz przeczytał notatkę raz, drugi i trzeci, rozebrał się powoli i położył się spać. Długo jednak przewracał się z boku na bok, zanim usnął. Wcześnie rano wstał, spojrzał na kalendarz i zabrał się do czyszczenia paradnego munduru. Wprawdzie do dnia uroczystości miał jeszcze trzy dni czasu, ale wolał być gotów wcześniej.

Około południa przyszedł sierżant Adamczyk. Przyniósł nowe wiadomości: Był u znajomego woźnego w magistracie i widział nowy sztandar. Nowiutki z cudnego materiału, chyba z czystego jedwabiu, albo atłasu! Z jednej strony cały biały a w środku, w czerwonym okolu Biały Orzeł. Z drugiej strony herb miasta na szkarłatnym podkładzie... Pod głowicą sztandaru z czystego mosiądzu, na której srebrny orzeł siedzi, są uwiązane dwie szarfy, biała i czerwona... Drzewce dębowe, dołem okute... Śliczny sztandar, tylko tyle... że... nowy... Jakiś już nie taki, jak stary. — Adamczyk odważył się i wziął sztandar na ramię. Według przepisu, jak tysiąc razy nosił stary, ale mu jakoś... nie siedział... Nie wiadomo, czy waga jakaś inna, czy może to, że drzewce nowe, mało rękami żołnierskimi wygładzone... Dość, że nie siedział.

Pułkownik słuchał w milczeniu, wykręcił mocno w górę czernione wąsy i nie przerywał ożywionemu sierżantowi. Patrzył cały czas na stół, na którym leżała wczorajsza gazeta. Dopiero po długiej chwili wstał i otworzył szufladkę nocnej szafki.

— Masz tu, kochany Adamczyk, dwadzieścia groszy. To za tę gazetę... A nie wiesz to, kochany Adamczyk, jak to będzie z tą uroczystością?

— W gazecie jest cały porządek...

— Nie o to mi idzie. Nie wiesz przypadkiem, czy wysyłają zaproszenia... czy też każdy ma wstęp...

— Myślę, panie pułkowniku, że przecież do kościoła każdy ma wstęp... a na koszarowy dziedziniec także... to znaczy, każdy wojskowy...

— No tak, niby tak... Ale chyba jakieś zaproszenia powinni wysyłać...

— I ja tak myślę — podchwycił Adamczyk. — A już na pewno panu pułkownikowi, jako bywszemu dowódcy pułku...

— ... a właśnie! O tym myślałem! — westchnął pułkownik. — Więc powiadasz, że mi powinni przysłać, co?

— No pewnie! — przytwierdził z głębi przekonania sierżant. — Tylko... panie pułkowniku... Ci młodzi to nic nie wiadomo. Wszystko im w głowie, tylko nie to, co trzeba! Może by najlepiej było przypomnieć im, że pan pułkownik tu mieszka i żyje...

— Nie, nie! Nie potrzeba przypominać. Myślę, że chyba będą pamiętać...

— Powinni!

— Przecie tak łatwo się o ludziach nie zapomina. Wprawdzie prawie wszyscy się pozmieniali, moich dawnych oficerów poprzenoszono, ale przecie ten i ów musi pamiętać...

— I ja tak myślę, ale, panie pułkowniku, ja tym młodym nic nie wierzę! Co innego ludzie z naszego rocznika! Ci o formie pamiętali, starszych szanowali...

— Znowuś na swojego konika wsiadł!

— Przepraszam, panie pułkowniku. Tak mi się jakoś wypsnęło, ale bo, po prawdzie, to dziś już chwała Bogu dwudziesty marca, to pan pułkownik powinien już mieć zaproszenie i do kościoła i na plac i na bankiet... a nawet myślę, że powinna tu przyjść do pana pułkownika delegacja i pięknie poprosić...

— Hm, mówisz, że już dwudziesty...

— A no tak.

Pułkownik znowu się zamyślił i począł chodzić wielkimi krokami po niewielkim pokoju.

— A może, panie pułkowniku, ja zajrzę do pułkowej kancelarii... Mam tam znajomego... Zapytam...

— Ani mi się waż! — skoczył nagle pułkownik, dobywszy głosu, jak swego czasu przed frontem. — Ani mi się waż! — Pochylił się potem nisko, zgarbił i skończył szeptem: — Jak będą pamiętać, to dobrze, a nie... to się obejdzie.

Dwa dni pułkownik nie wychodził z domu, mimo, że Adamczyk namawiał go codziennie na zwykłą, od długich lat, przechadzkę. Oświadczył staremu sierżantowi, że nie czuje się nadzwyczajnie, że jest nieco przeziębiony, i że wystarcza mu całodzienny spacer po izbie. Naprawdę zaś nie był przeziębiony i nawet bardzo tęsknił za przechadzką, która mu już w nałóg weszła, ale nie wychodził, bo się bał, że w czasie jego nieobecności może przyjść delegacja i nie zastanie go... a choćby tylko jakiś ordynans może przynieść zaproszenie...



... spojrzał na srebrnego orła ... i podniósł rękę do czoła.

Pułkownik dreptał po swojej izbie, nasłuchując uważnie, czy kto nie puka do drzwi, ale minęło dwa dni, minął i trzeci i nikt nie przychodził. Stara babina, posługująca pułkownikowi od lat, nie poznawała swego pana; jadł z każdym dniem coraz mniej i coraz był niecierpliwszy. Po dziesięć razy dziennie kazał jej wychodzić przed dom i patrzeć, czy nie idzie w ich stronę jaki żołnierz albo listonosz.

Nie przyszedł nikt.

Czwartego dnia rano, pułkownik naciągnął na siebie paradny, rzadko noszony, mundur, wyczernił wąsy starannie nad wszelką miarę, przypasał dawno nienoszoną szablę i wyszedł przed dom. Ledwie uszedł jednak kilka kroków, wrócił do izby z powrotem i począł szukać między gazetami. Znalazł ów numer zawierający porządek uroczystości i przeczytał. Spojrzał na zegarek, rozpiął płaszcz i usiadł. Siedział tak bez ruchu do godziny dziesiątej, a potem wstał, zapiął się starannie i wyszedł. Teraz szedł miarowym, sprężystym krokiem ku miastu, patrząc prosto przed siebie, wysoki, poważny. Nie widział ani jednego ukłonu starych znajomych z miasteczka, pogrążony tylko w jednej myśli: — Zapomnieli!

Kiedy wszedł na rynek, spojrzał na ratuszowy zegar i porównał czas ze swoim. Było piętnaście po dziesiątej. Tak, teraz już po nabożeństwie i uroczystościach powinien pluton honorowy odprowadzać stary sztandar do sali magistratu. Tak zapowiadał ogłoszony w gazecie porządek ceremonii.

Stary emeryt stanął na narożniku i czekał. Nie omylił się. Już po kilku minutach usłyszał dźwięki wojskowej muzyki. Gromada chłopców wyleciała z sąsiedniej ulicy, poprzedzając maszerującą orkiestrę, za którą szedł honorowy pluton ze sztandarem na czele.

Pułkownik patrzył z daleka i nie drgnął. Widział z drugiego końca rynku jak tłum skręcił przed ratusz, a potem błysnął mu tylko w bramie srebrny orzeł wnoszonego po schodach sztandaru. Po pewnym czasie orkiestra zagrała znów i tłum gapiów odprowadził ją znowu w stronę koszar. Rynek opustoszał. Wtedy dopiero stary pułkownik drgnął i ruszył wprost przez szeroki rynkowy plac w stronę magistratu. Zwolna wszedł uroczystym krokiem po szerokich schodach, minął wielką dębową bramę i znalazł się w hallu. Tu spostrzegł stojącego Adamczyka.

Sierżant zasalutował z jakąś niezwykłą powagą, ale nie podszedł do swego starego szefa. Pułkownik minął go bez słowa i począł wchodzić na schody prowadzące do sali rady miejskiej. Gdy się znalazł na górze, nacisnął zdecydowanym ruchem wielką klamkę ciężkich drzwi i wszedł. Zatrzymał się na progu i rozejrzał się po mrocznej sali: w kącie, obok prezydialnego stołu, stał zwinięty stary sztandar.

Pułkownik stał chwilę w progu, a potem ujął służbowym ruchem pochwę szabli i ruszył sztywnym krokiem w stronę sztandaru. Stanął przed nim na trzy kroki, podniósł głowę, spojrzał na srebrnego orła, dzierżącego głowicę sztandarowego szczytu i podniósł rękę do czoła.

Ten ukłon trwał dłużej, niż trzy przepisowe takty i ręka pułkownika nie opadła w dół tak ostro jak nakazuje przepis. I zwrot w tył wykonał pułkownik nie tak sprężyście, jak to czynił ongiś.

Gdy podniósł opuszczone powieki, ujrzał, że tuż przy nim stoi sierżant Adamczyk, i że tak jak on przed chwilą, trzyma zbyt długo rękę przy daszku. Wielkie, wyblakłe, niebieskie oczy sierżanta były zasnute mgłą łez, a małe, wywoskowane wąsiki drgały nieposłusznie.

— Ja wiedziałem, że pan pułkownik przyjdzie Go pożegnać — szepnął Adamczyk w chwili, gdy stary emeryt przechodził obok niego sztywnym krokiem.

WIOSENNE PORZĄDKI

MARTA WIELOGÓRSKA

Mój mąż jest przeciwnikiem świątecznych porządków. Nie wiem, dlaczego. Przecież to tak przyjemnie, gdy wszystko w domu wyczyszczone, wytrzepane i każda rzecz wygląda po prostu jak nowa, lśniąc czystością. Powiedział, że owszem, ale że nie lubi metod, jakimi się to osiąga. Bardzo sprytne określenie. Mężczyzna jest leniem po prostu, ale to nie dowód oczywiście, żeby cały dom zarósł brudem. Zdecydowałam więc krótko:

— Zbliżają się święta i najwyższy czas zrobić generalne porządki.

— Generalne porządki! — jęknął tak przejmująco, jakbym zamierzała co najmniej podpalić dom.

— Tak, mój drogi. Jutro zaczynam. Wielkanoc — takie piękne święto, a ja się mam rumienić ze wstydu, że u nas brudno? Spójrz, ile tu plam na podłodze, ile kurzu w fotelach...

— Przesadzasz, kochanie. Nic nie zauważyłem. Przeciwnie, zawsze podziwiam — dodał z lisią przymilnością — jak ty dajesz radę tak dokładnie sprzątać codziennie.

— Codzienne sprzątanie, a świąteczne porządki, to zupełnie co innego.

— O, tak, to zupełnie co innego — przytaknął skwapliwie, znowu z tym rozdzierającym bólem w głosie.

— A w ogóle nie rozumiem, po co robisz taką nieszczęśliwą minę. Przecież to ja będę sprzątać, nie ty, więc o co ci właściwie chodzi?

Nazajutrz zabrałam się do sprzątania. Mieszkanie na wsi ma dobre strony, że się człowiek nie gnieździ w jednym pokoju i ma do dyspozycji cały dom, ale za to o ileż więcej pracy! Toteż spieszyłam się jak mogłam. Do 11 miałam już pomyte wszystkie okna i rozrabiałam właśnie taką specjalną, czarną mazię do pomalowania kuchennego pieca i kominków, kiedy zadźwięczał telefon. To Hela, z sąsiedniej farmy. Zmartwiona, bo mały Jaś się rozchorował. Prosiła, żeby jej poradzić co ma robić, bo są takie objawy, że to może być albo grypa albo brzuszek. Powiedziałam, że najlepiej wezwać doktora. Rozmawiałyśmy jeszcze chwilę. Wybierają się na urlop do Londynu. Mówiła, jakie sukienki weźmie ze sobą i spytała, czy nie znam jakiegoś ładnego fasonu, bo chce sobie przerobić swoją czarną suknię. Widziałam właśnie bardzo ładny model w którymś z miesięczników, więc go opisałam dokładnie, jak wygląda. Nie jestem taka, jak inne kobiety, żeby zazdrośnie chować dla siebie nowości ze świata mody. Bardzo chętnie doradzałam przyjaciółkom. Zresztą, to był fason na bardzo szczupłą figurę, a Hela tak się roztyła ostatnio, że i tak nie będzie jej w tym dobrze. Później zamieniłyśmy kilka zdań o Wypsztyckich, że co w niej widzi, bo przecież ani ładna ani zgrabna. Mężczyźni mają dziwny gust. A propos, Hela opowiedziała mi historię flirtu młodego Ęckiego — serdecznie się uśmiałam — i szybko pożegnałyśmy się, bo ani ona, ani ja nie mamy czasu na długie rozmowy. Ledwo odłożyłam słuchawkę, kiedy wszedł mąż.

— Co ty tak wcześnie dzisiaj?

— Jak to wcześnie? Już pierwsza godzina.

— Ooo...

Trochę nie w porę ten telefon Heli, ale czyż mogłam jej powiedzieć, że nie mam czasu rozmawiać, kiedy biedactwo pyta jak pomóc choremu dziecku?

— Czy możesz mi dać obiad? — zgrzytnął mąż, złym wzrokiem obejmując miednicę z mydlinami, pudełka z pastą, szczotki i parę innych drobiazgów.

— Mój drogi... mam tyle pracy... sam chyba rozumiesz. Obiadu nie gotowałam, ale zaraz ci usmażę jajko. Weź sobie chleba tymczasem. Nalać ci herbaty?

— Nalej — mruknął ponuro, siadając ciężko na krześle, gdzie w pośpiechu położona leżała miseczka z czarnym kremem do kominków. Podskoczył.

— A to co znowu! — ryknął, jakby to była moja wina, że taki nieuważny i nie patrzy, gdzie siada.

— Przebierz się — powiedziałam spokojnie, bo zawsze panuję nad nerwami, choć płakać mi się chciało na widok wielkiej oleisto-czarnej plamy. Zniszczył spodnie zupełnie. I żeby choć nic nie mówił. Ale gdzie tam! Najpierw ironicznie zapytał, czy mogłabym mu łaskawie wskazać jakiś mebel, na którym mógłby usiąść bez szwanku, potem zaczął się wykrzywiać, że chleb mu zalatuje terpentyną i że w ogóle ma tego wszystkiego dość. W końcu zrobił mi awanturę, że dzisiejszą gazetę rozłożyłam na umytej podłodze. Też było o co! Przecież wyniki Pool'a są dopiero w sobotę, a dziś wtorek, więc niby co może być ciekawego w gazecie? Odpowiedział, że o zasięgu moich zainteresowań ma już od dawna wyrobione zdanie, niemniej kategorycznie sobie nie życzy, żebym niszczyła gazetę zanim ją zdąży przeczytać. Wyszedł wreszcie i mogłam znowu zabrać się do pracy. Do wieczora zrobiłam bardzo dużo, ale oczywiście mężczyzna nie umie tego ocenić. Nie spojrzał nawet na wyfroterowaną podłogę, nie zauważył lśniących kominków. Zdziwił się za to, dlaczego wszystkie krzesła stłoczyłam w przedpokoju, czy zamierzam wprowadzić nowy zwyczaj siedzenia na podłodze. W gruncie rzeczy jest mu już wszystko jedno, byleby szybko podała kolację, bo jest głodny jak wilk. (Oto męski „zasięg zainteresowań": żołądek!) Wyjaśniłam cierpliwie, że krzesła będę za chwilę pastować, dlatego ustawiłam je razem, a co do kolacji, to chyba nie wyobraża sobie, że w takim nawale pracy...

— Co?! Znowu nie ma nic do jedzenia?!

— Jak to znowu? Jadłeś przecież w południe. A i teraz jest chleb, jest jam i zaraz ci zrobię herbaty — powiedziałam łagodnie, bo zawsze się staram działać kojąco na jego nieuzasadnione napady złego humoru.

— Cóż ty myślisz, że po całym dniu ciężkiej pracy wystarczy mi chleb z jamem? Jeśli już muszę znosić to piekło w domu, to przynajmniej nie o pustym żołądku.



— Co?! Znowu nie ma nic do jedzenia?!

— Nie przesadzaj, mój kochany. Miliony ludzi cierpi głód prawdziwy, a ty histeryzujesz, boś nie dostał gotowanej kolacji. Śliczny dzień był dzisiaj — dodałam zaraz wesoło, żeby rozproszyć zły nastrój.

— Ciekaw jestem jak to długo potrwa — burknął nieprzyjaźnie w odpowiedzi.

— O, to może być długo, może jeszcze tydzień, może i więcej.

— Co?! Parę tygodni?! — krzyknął tak, jakby tegoroczną, wyjątkowo ciepłą zimę i wiosnę uważał za klęskę osobistą.

— Tak przynajmniej zapowiadają przez radio — powiedziałam zdziwiona.

— O czym ty mówisz? Pytałem, jak długo potrwa ten nieprawdopodobny bałagan w domu?

— Ależ, mój drogi, przede wszystkim nie bałagan a przeciwnie świąteczne porządki, a poza tym nie jesteś chyba dzieckiem i nie muszę ci tłumaczyć, ile tu jest pracy. Naturalnie, że w ciągu jednego dnia nie sposób temu podołać.

— To znaczy, że jeszcze przez kilka dni mam głodować, tak? Obijać się o porozstawiane meble, przewracać o szczotki... Jeszcze przez kilka dni w tak zwanym sitting-roomie nie będzie na czym usiąść, a w tak zwanym living-roomie — jak zresztą w całym domu — żyć nie będzie można. Nie! Wybacz, ale to ponad moje siły.

Wstał. Nie tknął nawet herbaty. Po chwili słyszałam jak w sąsiednim pokoju mówił do kogoś przez telefon:

— ...to doskonale, spędzimy wieczór razem... jeżeli tylko masz jakieś krzesło dla mnie, to wszystko w porządku, bo widzisz u nas nie ma na czym siedzieć, łóżko też w kawałkach, a materac wyrzucony na dwór... Pożar? Nie, nie mój drogi, to tylko świąteczne porządki... Nie rozumiesz? Nic dziwnego, jesteś przecież kawalerem... Mówią, że kawalerowi wszędzie źle, za to żonatemu tylko w domu... No, to serwus tymczasem — już jadę.

Pojechał, nie troszcząc się wcale że już upadam ze zmęczenia. Oto jak wygląda wdzięczność mężczyzny za to, że kobieta stara się mu stworzyć przytulne i czyściutkie gniazdko domowe — pachnące, błyszczące święta.

Notatki

Na wieczorze wtorkowym Ogniska Polskiego, dnia 6 kwietnia, Aleksander Bregman, mówił o kolejnym tomie pamiętników Churchilla. Tom ten ukaże się w sprzedaży za kilka tygodni i autor w części poświęcił go sprawom polskim. Gospodynią wieczorka była p. Irena Andersowa.

O „Wielkim Księstwie Litewskim XVI wieku" w świetle pracy prof. S. Kota pt. La reforme dans la Grand-Duche de Lithuanie" mówił prof. dr Władysław Wielhorski we wtorek, dnia 6 kwietnia, w Polskim Towarzystwie Historycznym (w budynku Instytutu im. gen. Sikorskiego).

Miesięczną wizytę w szpitalu w Epsom urządził Komitet Anglo-Polski. Odwiedzin Szpitalnych w niedzielę, dnia 4 kwietnia.

Rekolekcje odbyły się we wszystkich dzielnicach Londynu, gdzie mieszkają większe grupy Polaków: Lewisham (nauki wygłosił ks. Kołodziejczyk), na Paddingtonie, Willesden i Kilburn (ks. Pelczar), Acton, Shepherds Bush, Ealing (ks. Kornacki), Kościół Polski przy Devonia Road (ks. Jakimowicz). Dla studentów nauki wygłosił ks. Bełch w Brompton Oratory.

Wieczór dyskusyjny pt. „Kto pyta, nie błądzi", wzorowany na angielskim „Brainstrust", odbył się w Ognisku Polskim w środę, dnia 7 kwietnia, staraniem Związku Lekarzy Polskich. Przewodniczył Marian Hemar, odpowiedzi udzielali: Cat Mackiewicz, prof. Stanisław Stroński.

Walne zebranie tobrukczyków, b. żołnierzy SBSK, odbyło się w sobotę, dnia 10 kwietnia, w Instytucie im. gen. Sikorskiego.

Walne zebranie kacetowców odbyło się w niedzielę, dnia 11 kwietnia, w Domu SPK.

W wieczorze autorskim Janusza Jasieńczyka, zorganizowanym w piątek, dnia 7 kwietnia, przez Związek Pisarzy w Ognisku Polskim, wystąpili obok autora: Tola Korian, Olga Żeromska i Zygmunt Rewkowski, którzy recytowali utwory Jasieńczyka.

Otwarcie wystawy Studium Malarstwa Sztalugowego USB nastąpiło w niedzielę, dnia 11 kwietnia, w dawnej sali PUCu (7 Cromwell Road, South Kensington). Wystawa otwarta będzie do dnia 1 maja, w godz. od 3 do 9 wieczorem, a w soboty i niedziele od 11 do 9.

Byli uczniowie szkół mechanicznych zorganizowali się w Zrzeszenie b. Uczniów Uczelni Mechanicznych.

MŁODZI O MONTE CASSINO

Konkurs literacki na najlepsze prace o bitwie

Komitet Główny Obchodu X-lecia Monte Cassino ogłasza K o n k u r s na pracę młodych pod ogólnym tytułem: „Młodzi o Monte Cassino".

W konkursie mogą brać udział wyłącznie przedstawiciele młodego pokolenia, obojga płci, urodzeni po 1-szym stycznia 1927 roku, t.j. ci, którzy w czasie bitwy i kampanii włoskiej najwyżej mieli lat siedemnaście lub młodsi, mający jednak obecnie nie mniej niż osiemnaście lat ukończonych t.j. urodzeni nie później niż w r. 1936. Do konkursu mogą być zgłaszane prace prozą w formie wspomnień lub pamiętnika, opowiadania, artykułu, felietonu czy szkicu literackiego. Praca powinna odzwierciedlać stosunek młodego pokolenia do zwycięstwa pod Monte Cassino, które stało się symbolem wysiłku wojennego żołnierza polskiego walczącego na obczyźnie. Rozmiar prac nie może przekraczać 10-ciu stron pisma maszynowego, formatu znormalizowanego. Prace — o ile możności maszynopisy, pisane po jednej stronie, muszą być oznaczone godłem lub hasłem i nie mogą być podpisane przez autorów.

Nazwisko autora, szczegółowa data i miejsce urodzenia oraz dokładny adres obecny powinny być dołączone w oddzielnej zaklejonej kopercie, opatrzonej tym samym godłem lub hasłem co praca nadesłana.

Termin nadsyłania prac — do dnia 1-go maja 1954 r., na adres: Komitet Obchodu 10-lecia Monte Cassino, 18, Queen's Gate Terrace, S. W. 7., z zaznaczeniem na kopercie „Konkurs Młodych". Prace rozpatrzy Sąd Konkursowy w składzie: dr Zygmunt Nowakowski, red. Jan Bielatowicz, prof. Józef Bujnowski, p. Stanisława Kuszelewska, p. Florian Śmieja i p. Stefan Benedykt, z ramienia Komitetu Obchodu.

Komitet Główny wyznaczył trzy nagrody w wysokości funtów 15, 10 i 5 — za trzy prace uznane za najlepsze przez jury konkursu. Prace mogą być wykorzystane w prasie lub radio, za co autorom przypadałoby dodatkowe normalne honorarium. Prace wyróżnione, a nie nagrodzone mogą być również wykorzystane przez prasę i radio na tych samych warunkach.

Wyniki konkursu zostaną ogłoszone w emigracyjnej prasie polskiej.

PRZESYŁAJMY OFIARY NA KOŚCIÓŁ POLSKI W LONDYNIE

Do bieżącego numeru „Gazety Niedzielnej" dołączamy pocztowe formularz, który ma ułatwić naszym Czytelnikom przesyłanie dalszych ofiar na odbudowę i odnawianie kościoła polskiego w Londynie przy Devonia Road.

W intencji wszystkich ofiarodawców odprawiona zostanie w czasie świąt Wielkanocnych Msza św. w kościele polskim. Prace nad odbudową i odnawianiem świątyni zostały już ukończone, pozostaje jednak wziąć — mimo ustawicznie napływających ofiar — do uregulowania dług przekraczający kwotę 3 tysiące funtów.

Nie wątpimy, że żaden z załączonych formularzy nie zostanie bezużytecznie wyrzucony. Należy je przesyłać pod adresem: Polish Catholic Mission, 2, Devonia Road, London, N. 1.

UMOWA PMS Z SPK

Jak dowiadujemy się z zarządu głównego Polskiej Macierzy Szkolnej, doszło do zawarcia umowy o współpracy pomiędzy Polską Macierzą Szkolną a Stowarzyszeniem Polskich Kombatantów — Oddział W. Brytania. Na podstawie umowy Koła SPK prowadzące akcję szkolną otrzymują tę samą pomoc ze strony PMS, co koła Polskiej Macierzy Szkolnej. Z drugiej strony, tam gdzie nie ma kół PMS, Koła SPK prowadzić mają akcję na rzecz PMS, zwłaszcza przez udział organizacyjny w zbiórce na Dar Narodowy 3 Maja. Należy się spodziewać, że ta umowa wpłynie dodatnio na wynik zbiórki 3-Majowej w roku bieżącym.

KONKURS RYSUNKOWY: KTO I CO TO JEST?

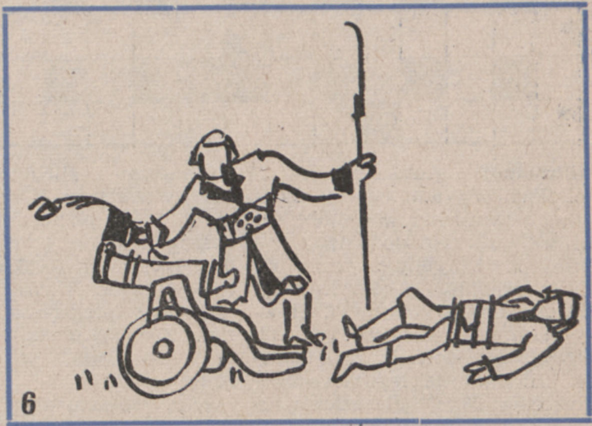

1


2


3


4


5


6

Powyższe rysunki dotyczą literatury i historii polskiej. Trzy pierwsze (numery 1, 2 i 3) przedstawiają wybitne postaci z dziedziny literatury i nauk ścisłych, trzy ostatnie (numery 4, 5 i 6) przedstawiają bardziej znane wydarzenia historyczne. Zadanie konkursu polega na możliwie krótkim i zwięzłym, ale równocześnie wyczerpującym podaniu faktów, dat i informacji związanych z osobami i wydarzeniami, które ilustrują rysunki konkursu. Rozwiązania, które będą zawierać trafne i najdokładniejsze opisy rysunków wezmą udział w losowaniu nagród: pierwszej w postaci premiowego tomu Biblioteki Polskiej: Antologia liryki polskiej Wacława Borowego, drugiej w postaci dowolnie wybranego tomu Biblioteki Polskiej i trzeciej w postaci bezpłatnej rocznej prenumeraty „Gazety Niedzielnej". Rozwiązania należy nadsyłać do dnia 30 kwietnia (data stempla pocztowego) zaznaczając na kopercie „Konkurs rysunkowy".

Rys. A. Wasilewskiego

BEZ RETUSZU

PRZY ŚWIĘCONYM JAJKU

Byłoby wielkim nietaktem życzyć dziś komukolwiek w Anglii smacznego święconego, co w naszym polskim, starym, dobrym rozumieniu oznacza zwoje kiełbas i smakowitej szynki, lukrowane baby, wódkę, chrzan, musztardę i całe stosy innego mięsiwa i słodkich smakołyków z barankiem z cukru na czele. Byłoby nietaktem dlatego, że nigdy człowiek nie może wiedzieć, czy ten, któremu życzenia składa nie ma jakichś dolegliwości żołądkowych, wątrobianych lub dwunastnicowych i czy mu właśnie lekarz tego czy owego nie zakazał. W takim wypadku życzenia smacznego święconego byłyby ponurym i złośliwym żartem najbardziej nie na miejscu.

„Fish and chips" i wszystkie świństwa z konserw bowiem znacznie już popsuły polskie przewody pokarmowe w tym kraju. Na palcach mógłbym policzyć tych znajomych, którzy są od przekleństwa tych chorób wolni i którzy nie wiedzą zgoła co to „alimentary track disturbances" czy też „duodenal ulcer" albo też „ulcer of stomach". Temu nie wolno tłuszczów, tamtemu nawet kawy, a nikomu — oczywiście — ani papierosów ani tym bardziej wódki. Z czego ci ludzie mają żyć, zwłaszcza gdy nadchodzą święta Wielkanocne?

Mam w Polsce krewniaka, który od jakichś lat trzydziestu cierpi na wrzód dwunastnicy. Że jest lekarzem, więc cierpienia swoje jeszcze bardziej odczuwa niż zwykły śmiertelnik, bo lekarze to taki naród, który w charakterze pacjentów za wiele wie o swych chorobach. I mój krewniak, choć wiedział co powinien jeść a czego mu nie wolno, nie potrafił się nigdy oprzeć pokusie łakomstwa i wcinał różne befsztyki i pieczenie, az mu się uszy trzęsły a i kieliszkiem czasami nie gardził. Wrzód czasami się uspokajał, a czasami wojował, ale dopiero gdy mojego krewniaka zamknęli do Berezy, poprawiło mu się gruntownie. Poza bowiem innymi przykrościami, którymi wypełniony był żywot więźniów Berezy, znakomitym plusem dla niego była dieta bezmięsna, jaką tam stosowano po prostu w postaci głodzenia pensjonariuszy tego letniska. Po powrocie wyglądał jak cień, ale wrzód na dwunastnicy się uspokoił. Mój krewniak wrócił znowu do dobrego jedzenia i choroba znowu odżyła; potem, pod okupacją niemiecką było gorzej z żywnością i znowu mu się poprawiło a dziś, myślę, że mogę mu już z czystym sumieniem życzyć smacznego jajka, bo i tak tam niczego smakowitego w Polsce komunistycznej nie dostanie, więc nic mu już nie zaszkodzi.

Natomiast tutaj, na emigracji, trzeba być — jak się rzekło — z tymi życzeniami barczo ostrożnym. Jeśli bowiem trafisz na jakiegoś wrzodowca z takimi życzeniami, to pomyśli, że albo jesteś bardzo złośliwy albo też, że wodzisz go na pokuszenie, nie wiedząc sam co to jest zdrowie, dopóki ci się nie popsuło.

Trzeba więc ograniczyć się do jajka, które na ogół dla wszystkich jest dozwolone, choć nie wszystkim wolno go jadać na twardo. Nie wszyscy więc będą się mogli podzielić jajkiem pięknie pokrajanym i rozłożonym ćwiartkami na talerzyku. Wielu będzie je musiało przełknąć na miękko. I nie zagryźć chlebem świeżutkim z masłem, lecz zwykłym „toastem" lub sucharkiem.

Swoją drogą szczególny pech nas na tej wyspie prześladuje. Oto żali mi się właśnie jeden z przyjaciół, że właśnie w momencie, gdy zniesiono racjonowanie jaj, okazało się, że on ich nie może jadać na twardo, na miękko zaś nie znosi. Inny cieszył się od dawna, że w maju zniesione będzie racjonowanie masła. Cóż z tego, kiedy teraz właśnie zabroniono mu jeść wszelkich tłuszczów, masła nie wyłączając. Cholerny świat!

Radzę też być ostrożnym w rozmowach towarzyskich na temat tego, jak to dobrze i obficie jadali dawniej nasi przodkowie. Byłem niedawno na przyjęciu, na którym jeden z gości nic nie jadł wymówiwszy się małą niedyspozycją żołądkową. A rozmowa toczyła się cały czas o tym, jak to pewien nasz pradziad zjadał na śniadanie całą gęś, inny jajecznicę z 22 jaj z kiełbasą, inny wreszcie połowę barana czy cielaka. Mój znajomy dziwnie jakoś kręcił się w czasie tej rozmowy, później zaś okazało się, że cierpi on na dwunastnicę i jest na ścisłej diecie beztłuszczowej i bezmięsnej. Dziś wiem, co on musiał przeżywać w czasie tej rozmowy, i nie jestem pewien, czy wróciwszy do domu nie targnął się na swe życie przyrządzając sobie smakowity befsztyk z kapustą.

Życzę zatem, na wszelki wypadek, wszystkim Czytelnikom smacznego jajka, ale na miękko i zagryzionego sucharem a nie świeżym pieczywem. A także szynki, ale chudej, którą popić należy herbatą czystą lub z mlekiem a nie z cytryną, nigdy zaś wódką. Kto może, niech je co chce, do niego bowiem moje życzenia się nie odnoszą: jemu i tak będzie smacznie na Wielkanoc.

Michał Osa-Gderski

UŚMIECHNIJ SIĘ



PRACA DLA STROICIELA

— Czy mógłby pan przy okazji naprawić także nasz gwiżdżący imbryk, zdaje mi się, że on też trochę fałszuje.



CZYM MOŻE SŁUŻYĆ

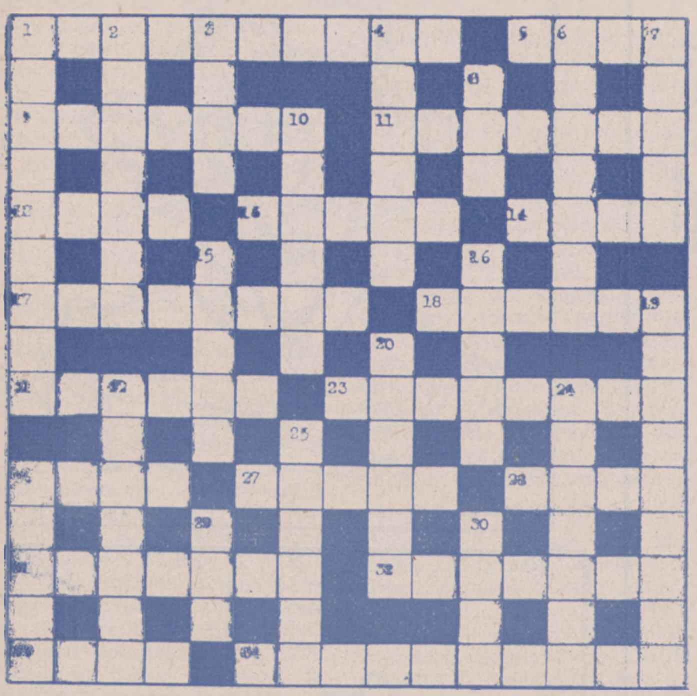
Policjanta, któremu synek przestrzelił czapkę z łuku pyta mama:

— Czym mogę panu służyć?

WIELKANOCNE KONKURSY ROZRYWKOWE

DLA DOROSŁYCH

KRZYŻÓWKA



Poziomo: 1. Autorka „Roty". 5. Półszlachetny kamień. 9. Podstawa powodzenia w handlu. 11. Turecki przyrząd do palenia tytoniu. 12. Przyjęty zwyczaj. 13. Już przepadło. 14. Miara wagi nie używana w Anglii. 17. Sławny reformator szkolnictwa. 18. Starożytna jednostka monetarna. 21. Zimowe legowisko niedźwiedzia. 23. Drogie czarne futro. 26. Znajdziesz ją w górach. 27. Bohater Iliady. 28. Imię zwierzątka Disney'a. 31. Boginie wdzięku. 32. Płaszcz obszerny bez rękawów. 33. Skorupiak. 34. Ma swój zakład blisko cmentarza.

Pionowo: 1. Niebezpieczny zaraźliwy wrzód. 2. Utwór muzyczny. 3. Pieśń pochwalna. 4. Najwyższy urzędnik w rzeczypospolitej rzymskiej. 6. Miasto niedaleko Katowic. 7. Wielkie lustro. 8. Gatunek papugi. 10. Część Stanów Zjednoczonych. 15. Wyrażenie pochwały. 16. Tam spodziewasz się taniej kupić. 19. Członek zakonu Św. Trójcy. 20. Miejsce zebrań i zabaw. 22. Strój modny za Stanisława Augusta. 24. Inaczej zadowolenie. 25. Imię księżnej Kentu. 26. Nietoperz. 29. Biały wiersz go nie ma. 30. Gaz świecący (wspak).

SZARADA

Drugie - czwarte ujrzysz wkoło,
Gdy wejdziesz na górę,
Czwarte - pierwsze rodzice obiecują
Dzieciom za złą cenzurę.
W **trzecim - pierwszym** wino z wody
Biesiadników zachwyca,
Zaś samo tylko **piąte**,
To kwadra księżyca.
Całość wcale nie jest trudna.
Rozwiązali wszyscy,
Miasto w Polsce, gdzie wychodził
Dziennik katolicki.

ŁAMIGŁÓWKA

W trzech kurnikach właściciel miał 24 kury w trzech nierównych grupach. Pewnego dnia z kurnika A przeniósł do kurnika B tyle kur, ile było w B, a z kurnika B przeniósł do C tyle, ile poprzednio było w C. Zaś z kurnika C przeniósł do A tyle, ile tam pozostało. Po tych przenosinach we wszystkich kurnikach była ta sama liczba kur. Po ile ich było?

SZYFROGRAM

1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 5, 10, 11, 3, 12, 13, 14, 5, 15, 16, 17, 8, 9, 18, 13, 12, 11, 3, 1, 7, 19, 20, 16, 5, 12, 17, 6, 14, 3, 9, 15, 13, 14, 13, 11, 17, 15, 5, 11, 10, 3, 1, 2, 3, 4, 2, 4, 21, 12, 16 13, 10, 2, 7, 6, 3, 8, 9, 5, 15, 5, 11, 10, 5, 6, 3, 8, 9, 14, 13 1, 2, 3, 4, 21, 12, 14, 22, 13.

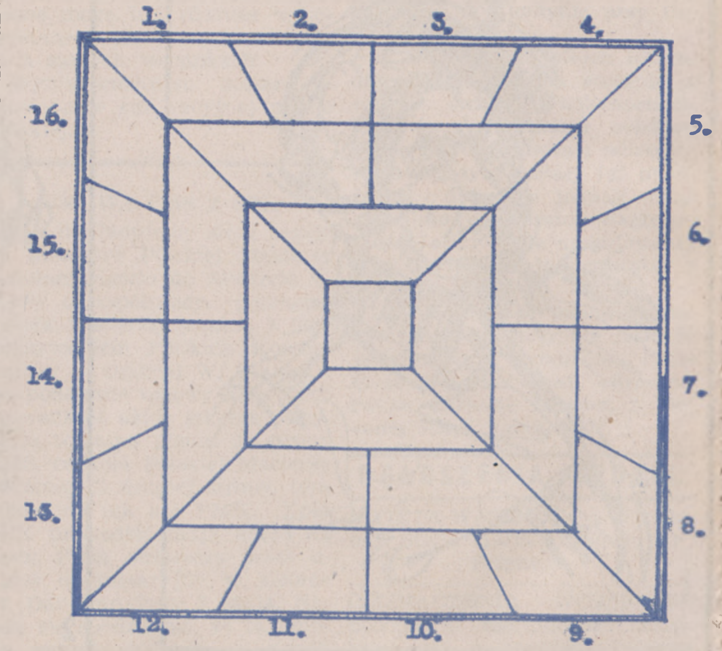
Klucz pomocniczy

6,5,16,2,17,1. — miesiąc
6,13,11,9,7,12,13,8,1,7, — niektórzy ludzie mówią, że mają duże dzięki stanowisku.
14,19,22,21,12 — część ciała.
15,5,20,22,5,4 — przedstawiciel jednego ze stanów.
10,19,18,3 — gdy smolone, to na pewno nie prawdziwe.

Po rozwiązaniu „klucza pomocniczego" wstawić na miejsce poszczególnych liczb odpowiadające im litery i odczytać złotą myśl.

DLA DZIECI

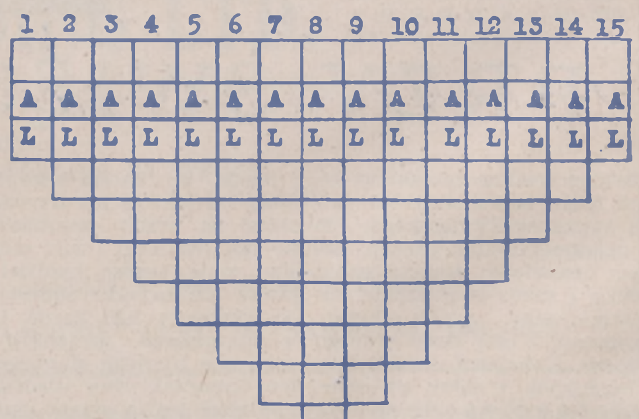
MOZAIKA



W powyższą figurę wpisać 16 wyrazów według podanych znaczeń. Środkowa litera jest początkową dla wszystkich wyrazów. Druga litera jest wspólna dla czterech wyrazów, trzecia dla dwóch.

Znaczenie wyrazów: 1. Woda z niego leci, 2. Legendarny założyciel Krakowa, 3. Małe zwierzątko żyjące pod ziemią, 4. Znajdziesz w smacznym ciastku, 5. Broń Bartosza Głowackiego, 6. Duży przedmiot pleciony, pożyteczny w domu, 7. Powłoka drzew, 8. Plac do grania w tenisa, 9. Pył na ulicy, 10. Ptak domowy, 11. Nasza ziemia jest taką bryłą, 12. Oddawana specjalna cześć, 13. Przechowuje się tam pieniądze, 14. Rycerz nosił na głowie, 15. Część ciała, 16. Następuje po przewinieniu.

LITERÓWKA



Litery znajdujące się w powyższej figurze należy uzupełnić tak aby powstały wyrazy czytane z góry na dół według poniższych znaczeń:

1. Wielka zabawa, 2. Proszek często używany po kąpieli, 3. Część ubrania, 4. Imię żeńskie, 5. Tak dawniej nazywano Małopolskę, 6. Rodzaj wędliny, 7. Duży instrument muzyczny, 8. Obrazki odbijane na papierze, 9. Smaczna jarzyna, 10. Rodzaj deseru z serem lub powidłami, 11. Imię męskie, 12. Owoc rosnący na krzaku, 13. Wyspa na Morzu Śródziemnym, 14. Duży pokój, 15. Angielska miara długości.

WARUNKI KONKURSÓW

1. W konkursie dla dorosłych uczestniczyć może każdy czytelnik „Gazety Niedzielnej". W konkursie dla dzieci uczestniczyć może każde dziecko w wieku do lat 15.

2. Konkurs dla dorosłych składa się z czterech zadań; poprawne rozwiązanie krzyżówki i szyfrogramu daje po 10 punktów, szarady i łamigłówki po 5 punktów. Wśród czytelników, którzy uzyskają 30 punktów rozlosujemy pierwszą nagrodę w gotówce w kwocie £ 1.10.0. Wśród czytelników, którzy będą mieli od 25 do 29 punktów rozlosujemy drugą nagrodę w gotówce w kwocie £ 1.0.0. Wśród czytelników, którzy uzyskają 20 do 24 punkty rozlosujemy trzecią nagrodę w gotówce w kwocie 10 szyl.

3. Konkurs dla dzieci składa się z pięciu zadań. Poprawne rozwiązanie mozajki i literówki daje po 10 punktów, każdej z szarad po 3 punkty. Wśród dzieci, które będą miały 29 punktów rozlosujemy jako pierwszą nagrodę kupon wartości £ 1.0.0 na dowolnie wybrane książki z księgarni „Veritasu". Wśród dzieci, które uzyskają od 25 do 28 punktów rozlosujemy jako drugą nagrodę kupon wartości 15 szylingów na dowolnie wybrane książki. Wśród dzieci, które uzyskają od 20 do 24 punkty rozlosujemy jako trzecią nagrodę kupon wartości 10 szylingów na dowolnie wybrane książki.

4. Rozwiązania należy nadsyłać do dnia 30 kwietnia 1954 r. Do rozwiązań należy dołączyć Postal Order na 9 pensów (za granicą dwa międzynarodowe kupony pocztowe) i wypełniony kupon konkursowy. Wyniki, rozwiązania zadań i rozdział nagród wielkanocnego konkursu rozrywek umysłowych ogłosimy w numerze „Gazety Niedzielnej" datowanym 30 maja 1954 r.

* * *

KUPON KONKURSOWY

Przesyłam rozwiązania ...... zagadek wielkanocnego konkursu rozrywek umysłowych „Gazety Niedzielnej" na ilość ...... punktów oraz Postal Order na 9 d. (2 międzynarod. kupony pocztowe).

Imię i nazwisko ....

Dokładny adres ....

....

(Prosimy o czytelne wypełnienie kuponu)

SZARADY

I

Pierwsze - drugie dzieci wstają,
Choć się czasem bronią,
Druga - pierwsza lisa cieszy,
Kiedy go psy gonią.

II

Gdy duże zwierzę ma literę,
Chcemy, by było w niedzielę.

III

Gdy do papugi dodasz z przodu i z tyłu tę samą literę, otrzymasz słowo, jakie zwykle mówisz, gdy nie chcesz przyjść natychmiast na wołanie.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: 12, PRAED MEWS, LONDON, W.2, Telefon AMB 6879. VERITAS FOUNDATION PUBLICATION CENTRE. Prenumerata (z przesyłką) płatna z góry: miesięcznie 2/6; kwartalnie 7/-; półrocznie 14/-; rocznie 28/-. Niezamówionych rękopisów Redakcja nie zwraca. OGŁOSZENIA: 1 cal przez 1 łam £ 1. W tekście 50 % drożej, na pierwszej stronie 100 % drożej. Za każde następne ogłoszenie tej samej treści — opust, zależny od ilości ogłoszeń. Nekrologi 10/- za cal. Ogłoszenia drobne: 1/- od wiersza. Za treść ogłoszeń Redakcja nie odpowiada. PRZEDSTAWICIELSTWA ADMINISTRACJI: ARGENTYNA: **„Libreria Polaca"**, Av. Leandro Alem 641. Buenos Aires; AUSTRALIA: **„Vistula" (Australia) Pty Ltd.**, 77, Pitt Str., Sydney oraz **„Społem"**, 85, Wattle Ave., Royal Park, Adelaide, S. A.; BELGIA: **E. Kulakowska**, 101, Rue Auguste Lambiotte. Bruxelles; BRAZYLIA: **Z. Kietlińska**, Av. Batel 1514, Curitiba, Parana; FRANCJA: Przedstawiciel Generalny — **„Libella"** Librairie, 12, Rue St. Louis-en-l'Ile, Paris IV; HOLANDIA: **P. M. K.**, Schorsmolenstraat 9. Breda; KANADA: **Canadian Mosaic Publishers, Suite** 1. 4118 Western Ave., Montreal 6 oraz **International Book Service**, 57. Queen Str. W., Toronto i **„Radegast"**, 570, Aberdeen Ave., Winnipeg, Man; NIEMCY: **S. Mikiciuk**, Seehammerstr. 4. Bar. 16 B/2 (13B) München 54 oraz **„Informacja Prasowa"**, Postfach 86, (23) Quakenbrück; NORWEGIA: **B. Łubiński**, Fagerturveien 14. Bestun ved Oslo; STANY ZJEDNOCZONE: **„Gryf Publications"**, 615, Henry Str., Utica, N.Y., oraz **M. Kijowski**, 13171. McDougall, Detroit 12, Mich., oraz **J. Stojanowska**, 424, Ave „E", Bayonne, N. Jersey, oraz **„Pomoc"— Export Import**, 761, Fillmore Ave., Buffalo 12, N.Y.; SZWAJCARIA: **Mgr A. Bocheński**, Case Postale 19, Fribourg 2; SZWECJA: **Mgr B. Kurowski**, Lund, Revingegatan 13 B; WŁOCHY: **Mme Z. Bulhak-Jelska**, via Salaria 300 C. Roma.

W sprawach prenumeraty i ogłoszeń prosimy porozumiewać się z przedstawicielami.

Printed by: Veritas Foundation Press. 12. Praed Mews. London W.2. Tel.: PAD 5734.